

ROCZNIK I. 1868. ZESZYT XI.

ŻÓŁTY GENERAŁ.

Z OPOWIADAŃ WIECZORNYCH.

SPISAŁ

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI.

I.

„Dziwnie to się plecie na tym bożym świecie“ powtarzali starzy i powtarzają dziś młodzi za panem Kochanowskim, z tą wszelako walną różnicą, że pierwsi bodaj czy nie większą mają do tego racyą, aniżeli drudzy. Jakoż ja z przekonania czy uprzedzenia — u starych na jedno to wychodzi — twierdziłbym gotów, że dziwnie się plotło, i że teraz już tak dziwnie się nie plecie jak dawniej.

Niechaj mówi kto co chce, ja przy swojem obstawać będę, że życie dziś ani tak barwne ani tak obfite w ciekawe przygody, jak dawniej było. Widzi mi się, że ludzie dzisiejsi jak w sukniach swych tak i w kolejach swego życia podobni są tak do siebie, jakby z pod jednego maszynowego wyszli stępla. Wszystko to dzisiaj idzie porządnie, niby gładko i z reguły, ale nie znaleźć w tem ani barwy, ani oryginalności, ani przygód, któreby zapamiętać było warto.

Jak się tylko urodzisz, już ci dziś z góry wypisać można *curriculum vitae*, i to bez wszelkiej zasługi proroctwa. Zrównało się to wszystko, pod strychulec poszło, a jak trudno niebawem będzie znaleźć nawet w naszej Polsce, gdzie jak wiadomo nadinżynierem dróg i mostów bywał djabeł, tradycyjnie lichą i przepastną drożynę, na którejby się człowiek po dawnemu porządnie mógł wywrócić wózkiem, choćby ku temu rzetelną miał ochotę, tak i w życiu, po udeptanych ścieżkach jego, przemykają się dziś ludzie spieszniej i gładziej zapewne, ale też i daleko nudniej według mego zdania.

Dobrze powiedział mi raz pan Marek, który jak w przysłowiu imiennik jego po piekle tłukł się po całej Europie wojując to z Kościuszką, to z Dąbrowskim, to później z Bonapartem, że dziś wszelką siłą trzeba się chyba usadzić, aby guza oberwać, i że kto zasmakował dawniejszych awantur, ten chyba z Europy do dzikich okolic drugiej półkuli świata przenieść się musi... Jakoż zważmy tylko, co nam nasi dziadowie mieli do opowiadania, a co my mamy, a cóż dopiero nasi wnukowie mieć będą?...

W tem to podobno szukać właściwej przyczyny, dla której dziś trudno o starców dawnego kroju, tak żywych, wesołych i przyjemnych... Starcy żyją wspomnieniami, i one są treścią ich umysłu pod schyłek żywota. A zkądże wziąć wspomnień, jeźli się nie miało ciekawych przygód i wypadków w życiu?... Czem tu się na starość ustrzedz przed znużeniem, wyczerpaniem i nudami?...

Ale dam pokój tym introdukcyom, abym wedle dawnego przysłowia niebył podobien temu, co rozebrawszy się do koszuli gorzej skoczył, niż póki skakał w kabacie. Zresztą, ów co czytać będzie ten urywek z mojego życia, wziąć gotów ten ustęp cały za zachwalenie przygody, którą opowiedzieć zamierzam; a mocnoby się może zawiódł na tem. Uprzedzić także muszę czytelnika, który się może przestraszył po troszę, że w opowiadaniu mojem coś z archaicznego zarywam języka, że z nie tak bajecznie starych jestem czasów, i że go nie będę raził tak obcą już dzisiej-

szym uszom staroszlachecką swadą. Zwyczajnie to tak bywa, że człowiek przegryzłszy się do wieku, w którym się już więcej opowiada niż robi, zaczyna opowieść każdą takim kształtem, jak to czynił dziad jego, może dla tego, aby mu się tak uroczyście dziwiono, jak on się dziwił swemu dziadkowi...

A teraz co rychło do rzeczy.

Nigdy nie mogę pomyśleć o Basztokolu, choć górą trzydzieści lat, jak tam nie byłem, aby mi się prawie łzy rozrzewnienia nie zakręciły pod siwemi powiekami. W Basztokolu bowiem wychowałem się i pierwsze lata młodości spędziłem. Basztokole była to wioska mała bardzo, podzielona między dwóch właścicieli. Jednym był pan marszałek Olesza, drugim nieboszczyk mój ojciec.

Dla czego się wioska nasza zwała Basztokole, różnie to mówiono i wywodzono; najłacniej pono dedukować tę nazwę od wielkiej baszty, położonej na wzgórzu, w samym środku wsi, a stanowiącej jedyny szczęt dawniejszego zamku obronnego, który znajdował się kiedyś na tem miejscu. Do tej baszty, która sierocą swą koroną sterczała z pagórka pod firmament, przybudował pan Olesza swoje domostwo, co wielce dziwacznie wyglądało. Pan Olesza kazał nawet wyrestaurować dół i pierwsze piętro baszty, przeznaczając je na gościnne pokoje, choć Bogiem a prawdą nikt tam nigdy nie gościł.

Mój ojciec miał swoje domostwo na dole we wsi, po drugiej stronie pagórka. Był to stary dwór drewniany, nie o wiele zapewne młodszy od owej dumnej baszty pana marszałka Oleszy. Miły Boże, jak mi zawsze stają przed oczyma drewniane ściany ojcowskiego dworka, ile to rzeczy minionych zdają mi się opowiadać wszystkie jego kąty!...

Pana Oleszę łączyła z ojcem moim najściślejsza przyjaźń i zażyłość sąsiedzka. Znali się oni od młodości, ale się przez bardzo długi czas potem nie widzieli, bo pan Olesza przebywał ciągle przy dworze pana wojewody pomorskiego Łosia w Narolu, i dopiero po jego śmierci porzucił swój urząd marszałkowski i wrócił do zagrody. Pan wojewoda był to wielki dziwak swego czasu, a pan marszałek Olesza cuda prawdziwe o nim opowiadał. Na wołowej skórze nie spisałbym tego, com się dzieckiem jeszcze nasłuchał o nim od pana marszałka, począwszy od historyi owego sławnego pomnika przy rzece Tanwi, aż do figlów z żydowskimi piekarzami w Narolu i sądu pociesznego na psy, co Kreiskapitanowi frak poszarpały... Ale nie pora tu mówić teraz o tem, może kiedyś poźniej...

Nie minął nigdy dzień, aby mój ojciec nie był u Oleszy, albo Olesza u mego ojca. Ja zaś to prawie ciągle siedziałem u pana marszałka. Nie miałem matki ani rodzeństwa, więc nieraz markotno bywało dzieciakowi — w dworze pana marszałka było się z kim pobawić i by co oglądnąć...

Pan Olesza miał przy sobie małą dziesięcioletnią wnuczkę sierotę i dla niej sprowadził do domu daleką bardzo krewniaczkę, ot tak, jak to mówiono: po dziesiątej wodzie na kisielu z litewska, a po dziesiątym kole w płocie z ruska, niegdyś pannę na respekcie u pani starościny kamienieckiej, Kossakowskiej, kiedy ta mieszkała w Stanisławowie a potem we Lwowie. Nudne to było kobiecisko, zanadto gderliwe a mocno nabożne, ale dobre, czułe, z sercem co się zwie złotem.

Pod opieką panny Jagnieszki Kokorzyńskiej tedy i dziadka starego wychowało się i rosło śliczne, gdyby kwiatuszek polny, owo sierocię, wnuczka pana marszałka, Helenka. Pan Olesza jedynym był po Bogu opiekunem Helenki, bo ją niemowlęciem jeszcze odumarli rodzice, a Helenka nawzajem była panu Oleszy jedyną pociechą życia. Miłował on to, pieścił, hołubił, że i opisać trudno; nie przesadzę, gdy powiem, że bez wahania się byłby się wyrzekł swego klejnotu i poszedł do żyda na służbę, co bywało najstraszniejszem zaklęciem u niego, gdyby szczęście Helenki tego mogło kiedy wymagać.

Otóż biegałem, będąc chłopięciem, do domu pana marszałka, aby się bawić z Helenką, którą jak siostrzyczkę rodzoną ukochałem, i aby zjadać słodkie pierniczki i gruszki na miodzie smażone, których zawsze podostatkiem miała panna Jagnieszka, a których nam nigdy nie skąpiła. W dnie letniej pogody nie było jednej stopy ziemi na pagórku i na sąsiedniej łące, na którejby nie postała nasza noga śród igraszek dziecinnych — słotną porą zaś udawaliśmy się z panią Kokorzyńską lub sami do starej baszty, i w dolnych tak zwanych gościnnych jej izbach, okrągłych i ponurym cieniem sklepień omroczonych, bawiliśmy się całemi dniami. Helenka choć czterma laty młodsza odemnie nadawała ton zabawom, a najmilszą z nich była gra w senatorstwo. Wówczas ja byłem senatorem, Helenka panią senatorową, i trzebaż było widzieć to miluchne, żywe furkadełko, jak minką nastrojoną poważnie, zadartym noskiem i arcypocieszną fumą zawstydzało swojego towarzysza, który w żaden sposób nie mógł sobie przyswoić dystynkcyi senatorskiej.

Pewnego razu wśród podobnych igraszek zwróciliśmy uwagę naszą na nizkie dębowe drzwi, które przy drzwiach głównych zdawały nam się być zbyteczne w dolnej izbie basztowej. Zagadkowe te drzwi wzbudziły naszą dziecinną ciekawość. Zwłaszcza moja imaginacya, którą zawsze dziwnie poruszały ponure i poważne mury baszty, mocno się zajęła tem tajemniczem dla mnie wyjściem. Korzystając z nieobecności pani Kokorzyńskiej, która nam tym razem nie towarzyszyła, postanowiłem je otworzyć. Helenka przestrzegała, groziła gniewem dziadka, ale nic to nie pomołem cisnąć podrtem się całą siłą pod drzwi i oburącz zaczą-
chciały się zrazuodrdzewiałą już dóbrze klamkę. Drzwi nie-
ciem uchyliły sięazu otworzyć, ale za podwojonem naciśnię-
ciem uchyliły się nagle.

— Chodźmy tam! Niebyliśmy tam jeszcze! — zawołałem pełen przedsiębiorczego animuszu.

Moja mała towarzyszka zawahała się, jakby lękała się tak awanturniczej wycieczki, ale naglona przezemnie a ośmielona jasnym promieniem słońca, które wybiwszy się z pod dżdżystych chmur niespodziewanie zabłysnęło przez okrągłe okno baszty, chwyciła się mego ramienia i poczęła się wraz ze mną wspinać do góry. Tak stanęliśmy na pierwszem piętrze baszty, ogromnie uradowani, że odkryliśmy nowy świat dla naszych zabaw i pustot dziecinnych. Wyżej iść nie było można, bo skręt schodów na drugie piętro kazał był dziadek przy restauracji dołu zabić deskami. Za to jednak mieliśmy przed sobą drzwi, które wiodły do izby na pierwszem piętrze. Potrąciłem je silnie i zaczarowany przybytek rozwarł się przed nami. Wciągnąłem za sobą Helenkę, która dawszy się tak zaawanturować, oddała się już całkowicie w ekskursyi tej pod skrzydła mojej mężnej opieki, co mnie, tyranizowanemu zazwyczaj przez jej spryt dziewczęcy, niezmiernie pochlebiało.

Izba basztowa na pierwszem piętrze, zmieniona także, jak wyżej powiedziano, na drugi pokój gościnny przez pana marszałka, zachowała daleko więcej cech starożytności niż dolna. Niebyła bieloną jak tamta, lecz zachowała szarą swą barwę poważną, a ściany ozdobione były rzeźbami z piaskowego kamienia, które wyobrażały hełmy, miecze, stosy kul działowych i inne rycerskie symbole.

Kiedyśmy stanęli u progu, zaglądało słońce wesołem okiem przez okrągłe małe okno, ale snać okryte nagle przez chmurę, bo dzień był niepogodny, zgasło zdradziecko. Głębokie cienie, przecięte mdławą strugą światła, którego skąpo użyczało okrągłe okno, rozwiesiły się po łukach sklepienia i nadało basztowej komnacie jeszcze więcej ponurej grozy.

Helenka przytuliła się do mnie z lękiem, a i mój chłopięcy animusz poniósł nieco szwanku. Chciałem już wracać, i rzuciłem niejako pożegnawcze spojrzenie po ścianach. Wzrok mój zabłąkał się w cieniach szarawych — i oto nagle widok przerażający przejął mnie nagłem, zimnem mrowiem trwogi...

Skamieniałem prawie na miejscu i zaledwie tyle miałem przytomności, że usłyszałem wykrzyk Helenki i uczułem silne ściśnienie ramienia, z którem się splotły drżące rączęta mej maleńkiej przyjaciółki.

Oto w najmniej oświetlonej części basztowej komnaty, tuż przy samej ścianie, stało widmo dziwne i przerażające.

Był to bardzo wysoki i bardzo chudy mężczyzna, z długą, kościstą twarzą, z spiczastą brodą, z nosem długim i zakrzywionym, z wzrokiem czarnym i przenikliwym.

Miał na głowie perukę na biało upudrowaną, z katagonem z tyłu kokardą przewiązanym, z lokami i pizonami po bokach; ubrany był w żółty frak z klapami, ozdobiony haftem i szlifami złocistemi, białe spodnie z karmazynową przewiązką, białe pończochy i trzewiki o błyszczących sprzążkach.

Od ramion spływała mu złocista szarfa i kutasami łączyła się z rękojeścią biało oprawnej szpady, u lewego ramienia połyskiwał jakiś order, a z pod pachy wyglądał trójgraniasty kapelusz.

Szczęściem nie patrzyło we mnie to widmo, oczy jego czarne i duże były odwrócone w inną stronę, bo stało bokiem do nas. Chciałem uciec, ale coś mnie przykuwało do miejsca, chciałem odwrócić oczy od żółtego upiora, ale więził on wzrok mój niepokonaną siłą...

Powtórny wykrzyk trwogi Helenki obudził mnie z tego otrętwienia. Ocknęła się we mnie ambicya, a że z natury byłem śmiałym dzieciakiem, więc niebawem przyszedłem do pewnej równowagi. Przetarłem oczy i śmiało zmierzyłem widmo.

Jegomość w żółtym fraku stał nieruchomy, bo też i trudno mu było się ruszyć.

Był malowany...

Ujrzałem teraz dopiero, że był to duży bardzo obraz bez ram, niezawieszony, ale oparty o ścianę. Byłto widocznie jakiś portret w naturalnej wielkości. Ciemne tło, na którem wymalowany był mężczyzna w żółtym fraku, nieodgraniczone ramą, spłynęło z cieniami, a z cieni tych wystąpiła tym sposobem jaskrawo namalowana postać.

Odetchnąłem.

— Nie bój się Helenko — zawołałem — to obraz tylko.

I chciałem podstąpić bliżej i dotknąć się malowidła, ale opór przerażonego śmiertelnie dziewczątka skłonił mnie do cofnięcia się z basztowej izby. Ująłem tedy ramię Helenki i sprowadziłem drżącą na schody. Uczułem w sobie niewypowiedzianie rozkoszną dumę, widząc się tak obrońcą i podporą Helenki! W pacholęciu odezwał się mężczyzna, radowało mnie niesłychanie, że mogłem mojej towarzyszce zaimponować rycerską odwagą w niebezpieczeństwie.

Radość moja jednakże nie długo trwała, bo zaledwie stanęliśmy szczęśliwie w domu pana marszałka, gdzie był także mój ojciec, a Helenka na pół omdlała i jak kreda blada opowiedziała, co zaszło, otrzymałem *eo instante* od ojca porządną choć dorywczą chłostę, i odesłany zostałem pod eskortą starego pajuka Onufrego do domu wśród najboleśniejszych *circumstancyj*, bo właśnie w chwili, kiedy pani Kokorzyńska zastawiała smaczne przekąski do kawy.

Atoli smutne wrażenia, które nastąpiły po naszej awanturze, rychło się zatarły. Niebawem dozwolony mi był znowu wstęp do pana marszałka Oleszy i jego wnuczki. Pierwszą rzeczą było zaspokojenie ciekawości co do tajemniczego obrazu. Zmówiwszy się tedy z Helenką poczęliśmy wypytywać pana marszałka, co to za obraz i co ma znaczyć...

— To konterfekt wujaszka Helenki — objaśnił nas pan Olesza.

— Niepotrzebuję takiego brzydkiego wujaszka!— zawołała krzywiąc się Helenka.

— A cóż on za jeden, ten wujaszek? — zapytałem.

— Patrzajcie wisusa, jaki ciekawy! — mruknął pan Olesza, ale dodał zaraz: — Jenerał, malcze...

Ale na tem też skończyły się wyjaśnienia. Od tego czasu mimo zakazów pana marszałka biegaliśmy często do izby basztowej na pierwszem piętrze, aby się przypatrywać obrazowi, który takiego przestrachu był przyczyną. Oddawaliśmy często wizyty wujaszkowi, czyli jak go zwaliśmy zazwyczaj „żółtemu generałowi.“ Niebawem spoufaliliśmy się aż do impertynencyi z „żółtym generałem,“ kłaniając mu się i przedrzeźniając. Helenka jednak od czasu, gdy się dowiedziała i uwierzyła, że portret przedstawia jej wujaszka, patrzyła z pewnem uszanowaniem na obraz, ale ja płatałem figle i psoty żółtemu generałowi, wybierając nieraz nos jego duży za cel pocisków orzechami.

Poczciwy „żółty generał“ znosił wszystko z świętą cierpliwością i pokochaliśmy się na prawdę. Nie mogłem wytrzymać jednego dnia, aby go nie odwidzić. Toż zrósł się żółty jenerał z mojemi dziecinnemi wspomnieniami ściśle, a przecież spleść się miał w dziwniejszy jeszcze sposób z życiem późniejszem.

Rosłem tymczasem na wierutnego wisusa. Miałem lat czternaście, kiedy ojciec mój począł zastanawiać się nad tem, co będzie z takiego urwisa. Zwiódł nareście walną naradę z panem marszałkiem i taki onej był rezultat:

— Chłopak wyrośnie mi na dzika albo na babiarza, bo albo po czeladni się kręci albo z panną Kokorzyńską i Helenką się zabawia. Już zeń wyrostek, wąsa co ino nie widać, a ledwie go ksiądz Ignacy w czytaniu przećwiczył. *Ergo* fora z Basztokola, pod szkolną dyscyplinę, do Alwara z paniczem, aby się, kiedy fortuny Bóg nie dał, mógł własnemi zęby przegryźć przez życie, jak to szlacheckiemu dziecku przystało.

I owó jak się stało, że za dni kilkanaście po tej naradzie, znalazłem się z ks. Ignacym, którego w tym celu uproszono, we Lwowie, w szkolnym konwikcie. Wszystko to stało się tak prędko, że nie miałem nawet czasu pożegnać się, jak się należało, z panem marszałkiem Oleszą, z Helenką, z panią Kokorzyńską i z — żółtym generałem.

Śniło mi się tylko w ostatnią noc przed odjazdem, że stanął przedemną żółty generał trzymając za rękę Helenkę i mrugnąwszy do mnie oczyma, rzekł coś tak, jakby: Do widzenia!

II.

Miał wielką racyą kochany mój ojciec, wysełając mnie co prędzej do szkół lwowskich, bo istotnie kaduk wie, coby ze mnie było urosło w Basztokolu. Jakoż choć mi się zrazu serce padało od żałości za ojcem i za wszystkimi, których zostawiłem, to przecież wkrótce sam w mym chłopięcym rozumie uznałem, że czas był najwyższy zacząć się przecierać i szlifować potrosze między ludźmi i w naukach.

Ojciec, acz skąpej bardzo fortunki był szlachetką, nie litował ani kosztów ani starania, i miałem pomieszczenie w konwikcie pana Borszy, przeznaczonym dla szlacheckich dzieci. Jakżeż mi się ciężko sromać przyszło, gdy ja piętnastoletni już drągal, a nadto chłop nad wiek i lata zmężniały, znalazłam się obok mniejszych i młodszych pacholąt, z których każde zakasować mnie mogło swoją nauką!...

Szczęściem byłem hardej duszy i niepospolitej ambicyi, więc nie czekałem admonicyi pana Borszy, ale zabrałem się tęgo do nauki, a że mi też Bóg trochę sprytu i przyrodzonych nie odmówił zdolności, więc rychło zrównałem się z towarzyszami. W domu ks. Ignacy przynajmniej mnie troszeczkę podćwiczył w łacinie — początek więc był ladajaki, byle dalej głową nadrabiać.

Za trzy lata niktby nawet nie był poznał wisusa z Basztokola, tak się przepolerowałem na ławie szkolnej. Ojciec zamyślał, abym się oddał zawodowi palestranckiemu, bo to zawsze najzyskowniejsza była kondycya i z prozapią zgodna. Ale palestry takiej, jaką była ona sławna polska, już wówczas niebyło nawet ani w Lublinie ani w Piotrkowie, a cóż dopiero we Lwowie, gdzie Niemcy już tego czasu wszystko byli z gruntu powywracali.

Aby się dostać do forum szlacheckiego, trzeba było długo i dobrze ćwiczyć po niemiecku, a na mecenasa wychrapać się było niesłychanie trudno. Czy to przywidywanie tych trudności, czy zrządzenie losu było, czy wreście moja niesforna natura ku temu skierowała, dość że zamiast przejść po regule szkoły, wziąłem się do cale innego kunsztu, o którym pewnie nigdy mój ojciec nie myślał, a i ja nigdy przedtem myśleć nie mogłem.

Miałem kolegę, poczciwego chłopaka, który porzucił szkoły, i idąc za skłonnością wrodzoną poszedł na naukę do malarza Włocha, *Signora Gracca*, który mieszkał we Lwowie a był ogromnie wzięty i lubiany, bo kunsztmistrz miał być nielada. Razu jednego przyszedłem odwiedzić mego towarzysza w malarskiej pracowni. Widok jej niesłychanie mnie zajął i imaginacyą młodocianą do głębi poruszył. Oprócz poczciwego żółtego generała i obrazów kościelnych niewidziałem żadnych prawie malowideł, a tu ich cały bezlik ujrzałem.

W dużej, wysokiej i jasnej pracowni porozwieszane były najrozmaitsze obrazy w ślicznych złoconych ramach, a wabiły mnie przepychem kolorów i rozmaitością treści. Patrzyłem się i napatrzyć nie mogłem na te gotowe już lub malujące się dopiero obrazy, wystawiające to sceny mitologiczne, to konterfekta, to bitwy rycerstwa itd. *Signor Gracco* utrzymywał całą szkołę, mnóstwo uczniów zajętych

było zawsze w sali. Począłem się w duszy z zapałem unosić nad tem, co to za piękny kunszt jest to malarstwo!

Raz mnie mój przyjaciel zawiódł do samego *sanctissimum*, to jest do gabinetu samego mistrza *Signora Gracca*. Ujrzałem tam mnóstwo pięknych rzeczy, a między innemi zwróciło moją uwagę płótno ogromne, obciągnięte białą farbą, na którem węglem porobione były niezgrabne esy i floresy, wywijasy i zygzaki, brzydko i niezgrabnie, jak mi się to zdało.

— To śliczny będzie obraz! — zauważył mój przyjaciel, a gdy mu się zaśmiałem w oczy, kazał mi przyjść za kilka tygodni.

Kiedy przyszedłem, zaprowadził mnie znowu do gabinetu mistrza, i o cudo! z tych zygzaków i bohomazów wyrósł przepyszny obraz!... Przedstawiał on bitwę chrześcijańskiego rycerstwa, podobno nawet naszego polskiego, z bisurmany. Śliczny to był widok i oka od niego oderwać nie mogłem! Czarodziejstwo sztuki, która zda się od Stwórcy wzięła sobie moc stwarzania z niczego, olśniła mnie i taki potężny wpływ wywarła na młody umysł — że, ot aby długo nie rozpowiadać, za kilka dni byłem w pracowni malarskiej jako uczeń.

Chodziłem obok tego i do szkoły, ale co to była za nauka! Straciłem do niej z kretesem ochotę i już całą duszą oddałem się malarstwu. Za dwa lata już się próbowałem nawet w kompozycyach, a cóż dopiero była za radość, gdy pan Stachowicz, sławny na on czas malarz polski, bawiąc we Lwowie przez czas jakiś i odwiedziwszy pracownię *Gracca*, pochwalił jeden z moich bohomazów i talent malarski mi przyznał.

Babrałem się tak w farbach z prawdziwym zapałem, gdy razu jednego do mnie z Basztokola zawitał ks. Ignacy, a gdy się z objęć moich serdecznych wywinął, opowiedział, że przyjeżdża po mnie, że ojciec mój mocno niedomaga i gospodarki już pilnować nie zdolny, że straciwszy nadzieję, aby się na moją naukę łożone koszta wypłaciły, uważa że jakoś ze mnie nie będzie pociechy ani dla ołtarza ani dla kałamarza, żem trochę za głupi, aby zostać starostą, a zanadto już mądry, aby dać z siebie zrobić kapucyna itd. itd., że zatem każe mi się pakować i wracać na wieś *stante pede*.

Zawitałem tedy nazad do kochanego Basztokola. Miałem już lat dziewiętnaście, urosłem w chłopa sążnistego, wąs mi się gęsto wysypał pod nosem — tak że mnie mało kto poznał, a nikt się dosyć nadziwić nie mógł. Osobliwie dziwne było nasze powitanie z Helenką. Ja, witając się z panem marszałkiem Oleszą pytałem skwapliwie o Helenkę, myśląc, że wybiegnie do mnie jak dawniej malusczkie dziewczątko w loczkach i różowej sukience — ona zaś usłyszawszy, że wrócił Józio, wyrwała się z drugiego pokoju, pewna także, że obaczy znajomego sobie malca w parcianym chałaciku.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedyśmy się nagle po pięciu latach ujrzeli!

— Józio! — zawołała Helenka, lecz ujrzawszy przed sobą wysokiego młodziana z męzką już prawie twarzą i z małym wąsikiem, zarumieniła się i poprawiła:

— Pan Józef...

— Panna Helena! — zawołałem uradowany, i gdybym się był zawczasu nie umitygował, byłbym objął Helenkę i uściskał i ucałował po dawnemu.

Co za przecudne dziecko zrobiło się z Helenki! Miała wówczas lat zaledwie pietnaście i podobną była do pączka, który zda ci się pod okiem w pełny kwiat wystrzelał. Biała, nadobna twarzyczka odbijała prześlicznie od czarnych włosów w warkocze splecionych, oczki pałające ogniem, złagodzonym dziewczęcą skromnością, rzucały uroczemi spojrzeniami, a na rumianych usteczkach kwitnął słodki wdzięk pustoty i wesołości.

Zmieszała się i wdzięcznie zapłoniła, widząc przed sobą dawnego towarzysza zabaw dziecinnych, ale po chwili podniosła swój wzrok i zmierzyła mnie nim ciekawie, że aż spuściłem oczy i żakiem się prawdziwym uczułem. Źle się musiałem przedstawić pannie Helenie, bo już tak ją teraz nazywać wypadało, gdyż palony jej spojrzeniem, wyglądałem bardzo nieśmiało i niezgrabnie. Za to panna Helena sprawiła na mnie odrazu głębokie wrażenie, uwięziwszy mnie w czarownem kole swych powabów.

Wrażenie to połączone ze wspomnieniami lat dziecinnych otoczyło ją w imaginacyi mojej niewypowiedzianym urokiem, a pierwsza noc spędzona pod dachem rodzinnym poświęcona była lubym rozmyślaniom, jak to szybko i pięknie panny rosną, i jak to źle, że dziwiąc się temu, zapomniałem języka w gębie.

Wielce się zdziwił i zgorszył mój śp. ojciec, gdy na drugi dzień zrana ujrzał, że zamiast pochlebnych świadectw szkolnych wyciągam z mego podróżnego węzełka zabazgrane ołówkiem papiery i malowane płótna, farby i pędzle. Gdym się zwierzył przed nim, czem się też po za szkołą trudniłem, zgniewał się nie pomału, bo jako człowiekowi starej daty, wydało mu się to cale niepoczeszną, próżniacką zabawką, niegodną szlacheckiej kondycyi.

— Widzę już dobrze — ofuknął — że z waści nie będzie już pożytku dla nauki, i że nie czepia się ona twej pustej pałki. Zostań tedy, a ucz się koło roli chodzić i zostać mizerną szlachetką, kiedyś się nie chciał w świecie forytować.

Zostałem tedy w domu, a długo znosić musiałem gorzkie przymówki ojca, do których dołączał także swe ucinki i pan marszałek Olesza. Ale jakoś w kilka tygodni zdołałem udobruchać starych. Z początku to mi kazano taradajkę zieloną na nowo malować, to kredens odświeżyć, śmiejąc się, gdy mi indygnacya twarz paliła — ale gdym wymalował św. Stanisława do głównego ołtarza w kościółku,

za którą to niespodziankę ksiądz Ignacy ze łzami mnie prawie wyściskał i wycałował, gdym wymalował portrety ojca i pana marszałka a najpiękniejszy Helenki, bo weń nietylko cały mój kunszt ale i całą duszę przelać pragnąłem — to jakoś mniej już krzywem okiem poczęto patrzeć na biednego malarczyka i przynajmniej swobodnie malować pozwolono.

Przy tem wszystkiem jednak musiałem się szczerze wziąć do gospodarstwa, i wyręczyć ojca we wszystkiem, bo i życzył sobie tego i nadto sam już, niedomagając często, zajmować się tą pracą nie mógł. Tak więc rozpocząłem żyć nowym dla mnie, ale pilnym, pracowitym trybem. Położyłem też wkrótce krzyżyk na wszystkie zamysły i zachcianki, które z sobą wywiozłem z stolicy — i pogodziłem się z myślą, spędzić żywot cały w zaciszu Basztokola. Bogiem a prawdą nie przyszła mi tak trudno ta rezygnacya, bo wiedziałem, że skromne to i jednostajne życie opromienią mi sztuka, którą choć w niej byłem partaczam, ukochałem na prawdę, i oczy prześliczne Helenki.

Z panną Heleną odnowiłem wkrótce przerwane długiem rozłączeniem stosunki — a choć nie mogły być one tak swobodne i puste, jak były przed laty, choć poczciwa panna Jagnieszka Kokorzyńska niedała już nam teraz ani chwilki pozostać sam na sam, przecież zespolały one nas coraz głębszem, coraz silniejszem ogniwem uczucia, którego jednak żadno z nas, nawet w chwili marzenia, w najtajniejszej myśli swej, nie ośmieliło się zapewne nazwać po właściwem imieniu.

Jednego razu, a było to jakoś w święto czy niedzielę, byłem wraz z ojcem u pana marszałka Oleszy. Pan marszałek opowiadał jak zawsze o panu wojewodzie Łosiu i o dworze narolskim, a ja usiłowałem według jego informacyi nakreślić konterfekt pana wojewody, co jednak w żaden sposób udać mi się nie chciało. Wszystko zdaniem pana marszałka było podobne, buty i pas i kontusz i czupryna nawet podgolona, tylko nosa pana wojewody ani rusz było trafić dokładnie. Rysowałem tedy i mazałem śród wesołego i dźwięcznego uśmiechu panny Heleny, gdy naraz rzekł pan marszałek:

— Daj Wasze pokój panu senatorowi i jego nosowi, który niech spoczywa w Bogu, (t. j. pan senator a nie nos jego) — a kiedy już chcesz mieć coś do roboty, to ci przypomnę starego przyjaciela, o którym już ty i Helenka zapomnieliście snać na wieki!

— Któż to taki?—zapytaliśmy równocześnie z panną Heleną.

— A generał z basztowego piętra!

— Żółty generał! żółty generał! — zawołałem uderzając w dłonie, i trudno mi było pojąć, jak mogłem zapomnieć o żółtym generale i nie powitać dotąd towarzysza figlów dziecinnych.

— Ale niechże dziaduniu powie nam choć teraz, kto był ten żółty generał? — zapytała Helenka.

— Jest to pan Jost Suchorzewski, brat przyrodni twojej matki, Helenko — rzekł pan marszałek— Rodzina Suchorzewskich oddana była zawsze całą duszą partyi saskiej i lubianą była bardzo przy dworze obu Sasów. Pan Jost Suchorzewski wstąpił nawet do wojska saskiego, a August III zrobił go saskim generałem. Jako taki generał wymalowanym jest na owym starym konterfekcie w komnacie basztowej.

— I znał go osobiście pan marszałek dobrodziej?—zapytałem?

— Raz tylko jeden widziałem go, choć z nim wtedy nie mówiłem. Pan Jost był zażartym przeciwnikiem Stanisława Augusta, a kiedy zawiązano konfederacyą barską, przyjechał z Drezna, bo tam zawsze mieszkał, skoro na tronie polskim Sasa nie stało, i zabawił dni kilka między konfederatami i generalicyi sporą sumę z własnej szkatuły ofiarował. Widziałem go nawet, jak gdy nas niespodzianie Moskale otoczyli, pan jenerał Jost w żółtym fraku na czarnym koniu rzucił się ze szpadą na nich, i choć się wiara konfederacka do rozpuku śmiała z jego śmiesznej figury, arcygracko się spisywał.

— I niepoznałeś go dziaduniu bliżej, choć był naszym krewnym? — zapytała Helenka.

— Nie starałem się o to — odparł pan Olesza — bo taki był mój zwyczaj nie pchać się do wielkich panów, choćby byli w pokrewieństwie. Jeżeli chciał znajomości, to mógł się o mnie tak dopytać, jak ja o niego. Niech mu to będzie niewymownem i niewymawiam też, broń Boże, bo nie stałem o niego i nie stoję, ale nie pamiętał nigdy o swej rodzinie.

— Więc i za życia matki wuj nie zbliżył się do nas?— zapytała Helenka.

— Nigdyśmy o nim ani marnego słówka nie słyszeli, nigdy też nikt się z naszej familii nie zgłaszał do niego... Słyszałem tylko o nim dużo, i to nie bardzo piękne rzeczy. Opowiadano, że był farmazonem i niedowiarkiem, a lubił się też i w gamrata zabawić.

— Czy był żonatym? — zapytałem.

— Nie, podobno. Ale w romansy się plątał niefortunne. Zawsze się jakiejś Niemkini dopytał, co go potem za nos wodziła po swojemu. Ale stary przeżywał wszystkie, a co mu jedna z karku spadła, to drugiej się przypytał.

— To pan generał Jost musi być bardzo już wiekowym?

— Jeżeli jest — odpowiedział pan Olesza—choć wątpię, aby żył dotąd. Starszy był odemnie, a przecież mi już półosma krzyża. Ale oto co chciałem powiedzieć, panie malarzu. Warto abyś go odmalował na świeżo, bo już gdzieś proch zjeść go musiał w baszcie.

— Z największą chęcią — zawołałem — i tak godzi się odwidzić starego znajomego. Panno Heleno, może zrobimy wizytę żółtemu generałowi.

Nad moje spodziewanie panna Helena zgodziła się na propozycyą, a że pani Jagnieszka gdzieś się w swej apteczce zakopała, więc poszliśmy sami na wieżę basztową. Podałem ramię Helenie, przypominając, że tak w objęciu przed laty szliśmy po raz pierwszy na basztę, ale dostałem rekuzę i szliśmy tylko obok siebie. Mój Boże, jak to się zmieniło w starej baszcie! Stare mury niechciały przyjąć wapna, którem je pan marszałek dał obielić— nowy tynk opadł, jakby nie był; wszystko było szare i ponure.

W komnacie na pierwszem piętrze zastaliśmy na dawnem miejscu żółtego generała, ale się mocno podstarzał i podponiewierał biedaczysko. Żółty frak zrobił się prawie szarym pod grubym pokładem kurzu, twarz spłowiała jak na trupie, a biała pudrowana peruka zczerniała do niepoznania.

— Witam! mości generale!

— Czołem — żółty generale! — zawołaliśmy oboje z Helenką, patrząc na stare, okurzone malowidło.

Żółty generał z gwiazdą orderową na piersiach, z trójgraniastym kapeluszem pod pachą stał jak przed laty i patrzył przed siebie surowym i przenikliwym wzrokiem, ale mimo to zdało mi się, jakoby twarz jego na nasze powitanie rozpogodziła się nieco i jakoby starowina się cieszył, żeśmy go sobie przecież przypomnieli.

Tak staliśmy chwilę patrząc i dawne czasy dzieciństwa stanęły nam żywo przed oczyma. Spojrzałem na Helenkę, śliczna jej postać odbijała cudnie od starych murów i zakurzonego konterfektu.

— Panno Heleno — rzekłem — czy pamiętasz, jakeśmy się to dawniej przestraszyli poczciwego generała! Wtenczas panna Helena była maleńką Helenką i tuliła się do mnie, a ja obejmywałem ramieniem jej drżącą od trwogi kibić...

I pod wpływem tej miłej reminiscencyi ująłem ramieniem pannę Helenę i chciałem ją jak dawniej objąć uściskiem... Helenka chwilkę się nie opierała i dłoń jej maleńka spoczęła w mojej — ale nagle oblała się pąsem wstydu, wyrwała się jak wiewiórka i uciekła na schody, wołając z czarownym śmiechem:

— Za długo pan Józef pamięta i zanadto śmiało sobie przypomina!

I jak lotna sarneczka zbiegła szybko na dół.

Ja tymczasem zostałem na górze ścigając ją rozkochanym wzrokiem — a gdy mi zniknęła, spojrzałem na żółtego generała, który zdawał się na pół ironicznie, na pół dobrodusznie uśmiechać.

— Za mną, mości generale — zawołałem — pójdziesz waszmość z wieży, bo ci tu nudno może! Śmiejesz się waszmość ze mnie, że mi się panna Helena podobała, a sam to Niemkinie ładne lubisz, niecnoto! Przebierzemy cię ładnie: dam ci frak nowy żółty, upudruję werżet i pizony i pozłocę order, bo kaducznie zblakował. A na twarzy przyda się także trochę barwy, bośmy się postarzeli mocno, mości generale saskiego autoramentu! Ale za to pamiętaj waszmość, że przysięgam na twoją szpadę generalską, że panna Helena musi być moją, jakem żyw, choćbyś prosić miał o protekcyą dla mnie w tej sprawie Lucypera, twego kamrata, u którego na odwachu siedzisz, boś był farmazon, mości generale, i ładne Niemkinie lubił! Czy tak?...

Puste te i całe niemądre słowa wyrzekłem w napadzie dobrego humoru, bo mnie mała przygódka z panną Heleną rozweseliła — ale ledwiem je wyrzekł, usłyszałem głuchy, rozbity głos:

— Tak!

Lęk mnie zdjął mimowolny i wpatrzyłem się z trwogą na żółtego generała, czy to on na prawdę wyzwanie przyjmuje... Było to jednak tylko echo, którem stare mury pustej baszty powtórzyły ostatnie moje głośno wyrzeczone słowo. Choć atoli wytłumaczyłem sobie naturalnym trybem to echo, przykro mi było, że choć w pustocie i żartem wspomniałem imię panny Heleny razem z nieczystem imieniem księcia piekielnego, a że byłem w pobożnym wychowany domu, żałowałem szczerze tego głupiego żartu.

Wziąłem stary konterfekt, stuknąłem nim parę razy o ziemię, aby zeń trochę kurz uleciał, i władowawszy na barki zaniosłem do domu, aby go odnowić. Choć, jak to sam już przyznałem, nie tęgi byłem w kunszcie malarskim, przecież tylem go połapał, aby poznać, że portret żółtego generała wyszedł z pod niepospolitego pędzla. Zajął mnie tedy tem bardziej i z wielkiem zamiłowaniem rzuciłem się do odnowienia pana generała, który był świadkiem moich chwil najszczęśliwszych.

Ani się spostrzegłem, jak minęło dwa lata od czasu mego powrotu do Basztokola. Panna Helena zakwitnęła tymczasem całym blaskiem urody, z pączka wystrzeliła róża cudowna! Już teraz moje uczucia ku niej wyłoniły się z niepewnej mgły rojeń młodocianych, z naiwnych przeczuwań i przypuszczeń — mogłem już zformułować jasno mój stosunek do niej: kochałem ją całą duszą, całem sercem, całą istotą moją.

Ale nie będę tu odgrzewał całej tej historyi mojej miłości — dla ludzi obcych nudną jest taka opowieść, może dla tego, że w żaden sposób nie zdołasz jej wysnuć z siebie taką niebiańską tęczą barw i świateł, jaka ci w duszy się kryje.

Powiem chyba, że mimo wszelkiej skromności, która kluczem wstydu zamykała różane usteczka Helenki i trzymała na wodzy jej czarne oczki, nieraz z tych ustek wyrwało się ptaszkiem słówko, z tych oczek wystrzeliło promyczkiem spojrzenie, które kazało mi wierzyć, że nie kocham sam tylko, że mogę liczyć na wzajemność.

Starzy uważali dobrze, co się święci, i nie przeszkadzali temu, snać trafiało to w ich życzenia. I oto raz po długich, tajnych naradach pana Oleszy z moim ojcem, do

których i ksiądz Ignacy był przypuszczonym, wziął mnie ojciec na konfessatę, a gdy padłem mu do nóg z wyznaniem mego gorącego afektu, napomniał mnie czule i poważnie, abym płocho tej świętej rzeczy nie brał i kazawszy się ubrać świątecznie i sam tak się ubrawszy, zawiódł mnie do pana Oleszy, aby prosić o rękę panny Heleny.

Chwila ta rajska w mem życiu skończyła się na tem, że gdy Helenka, oblana rumieńcem i z załzawianemi od wzruszenia oczkami podała mi rączkę na zgodę, obsypałem tę śliczną, białą rączkę niezliczonemi pocałunkami, tracąc przytomność od tego szczęścia, które zmieścić się niemogło w sercu, od uniesienia i słodkiego zachwytu, który mi mącił głowę i o szał przyprawiał.

Potem padłem plackiem do nóg ojcu i panu Oleszy, i zanosząc się prawie płaczem ściskałem i całowałem ich drogie stopy, chyląc kornie głowę pod ich błogosławieństwem. Potem rzuciłem się znowu na kolana przed moją Heleną, a potem uczyniłem to samo przed księdzem Ignacym, który był temu obecnym, a potem wreszcie przed panną Jagnieszką, która płacząc z rozczulenia broniła się z zabawną wstydliwością panieńską przedemną, gdy począłem ściskać obcesowo i całować jej kolana.

O Boże mój! co to za pełny był puhar rozkoszy i szczęścia, jak się przelewał uniesieniem niewypowiedzianej radości! Ty sam Boże uznałeś to szczęście za zbyt wielkie dla serca śmiertelnika, boś w surowej mądrości swej dozwolił losom, aby w puhar ten rzuciły gęste krople bolu ciężkiego i rozpaczy.!...

Jakoż tak było w istocie. Czy myślałem wówczas, że za wieńcami, które oplotły dnie moje, czycha śmierć, że tuż za wschodzącem słońcem pędzą czarne chmury, co światłu zazdroszczą?...

Zadaję poniekąd gwałt samemu sobie, że krótko zbędę wypadki, które po owym rozkwicie szczęścia nastąpiły. W wspomnieniach szczęście i ból mają równie silny choć odmienny urok, ale nie wolno mi zapomnieć, że to nie mają być marzenia samotnika ale opowieść. Dlatego skąpym będę w słowach.

Zwaliły się na mnie niebawem ciosy bolesne, krwawe. Jeszcze nie wychyliłem puharu szczęścia, a już mi los gorycz podał obfitą. Zaledwie oznaczonym został termin ślubu i zaczęły się przygotowania do wesela, gdy nagle mój ojciec ciężko zaniemógł a po kilku tygodniach choroby ducha swego prawego Bogu oddał. Osłoniło się kirem żałoby



Przed źwierciadłem stał w pełnym swym mundurze żółty generał. (str. 343).

życie moje, niedawno tak opromienione szczęściem. Żal srogi, okrutny złamał duszę moją. Gdyby nie pociecha religii, gdyby nie czułe starania księdza Ignacego, pana Oleszy i panny Heleny, byłbym przeszedł z boleści w dziwny, głuchy stan martwoty, która już ołowiem osiadała była na strapionej duszy.

Powoli jednak przyszedłem do siebie. Ból gwałtowny ustąpił rzewnej żałości, uspokoiłem się, pogodziłem z wyrokiem bożym. Ślub mój z Helenką odwlókł się na rok cały, ani ja ani ona nie bylibyśmy nigdy przenieśli, abyśmy mieli uklęknąć na kobiercu wobec nieporosłej jeszcze mogiły ojca.

III.

Przyszedłszy nieco do równowagi, począłem myśleć o uregulowaniu spuścizny ojcowskiej, o tym kawałku ziemi, która stała mi się teraz jeszcze stokroć droższą, od kiedy przyjęła na spoczynek zwłoki najdroższego mego ojca. Wkrótce z biegu interesów wypadło mi pojechać do Lwowa. Miałem tam odebrać małą sumkę, należącą się jeszcze ojcu, a dziś potrzebną mi bardzo do podratowania upadłego mocno gospodarstwa.

Niepotrzebuję opowiadać, jak niechętnie wybierałem się w tę podróż. Ale prędzej czy poźniej trzeba się było pozbyć interesu, a zresztą kiedy mi teraz tak trudno było rozstać się z Helenką, to poźniej w pierwszych miesiącach małżeństwa byłoby to może niepodobieństwem.

Stanąłem we Lwowie szczęśliwie, i szczęśliwie też sprawę moją załatwiłem. Sumka moja złożoną już była u pana mecenasa Szalborskiego, który ją był na przeciwnej stronie wyprocesował. Był to mały rezultat wielkiego i długiego sporu prawnego. Mój nieboszczyk ojciec miał pretensyą do masy pana Prota Potockiego, a pretensya ta zwróciła się poźniej przeciw jednemu z jej sukcesorów.

Suma, o którą chodziło, była bardzo znaczna, pieniał się też mój ojciec o nią zawzięcie. Wygrał proces na krótki czas przed śmiercią, ale pretensya, nim przeszła przez wszystkie instancye, tak zmalała, tak ją niemiłosiernie obcięli panowie palestranci, że zrobiła się z niej malutka kwota, ale zawsze jak na moją fortunkę mizerną dość okrągła.

Poszedłem do pana Szalborskiego i odebrałem sumę. Do tego Szalborskiego mój ojciec miał formalną słabość. Chodziła o tym mecenasie fama nienajlepsza, mówiono o jego kruczkach palestranckich siła złego, a nawet w złośliwych wierszykach przezwano go we Lwowie Szalbierskim. Ale mój ojciec mimo odradzeń ze wszystkich stron powierzył mu swą sprawę. Niewierzył pogłoskom i miał zaufanie do zręcznego mecenasa. W ogóle Szalborski mimo swej niedobrej sławy miał ogromną klientelę, bo uchodziło to u wielu pieniaczy za regułę, że w procesie lepiej mecenasa mieć zręcznego, choćby nie ze wszystkiem uczciwego, niż prawego, a w jurysteryi nie ostro kutego, bo pierwszy choć dla siebie połowę zarwie, to przecież coś wypienia, drugi i sam się natrudzi i klienta swego na koszt wyciągnie, a proces swoją drogą przegra.

To też pan Szalborski szydził sobie z czczych języków i z swych kolegów kausyperdów, bo wzięty był bardzo i majątek robił. Mój ojciec tem bardziej nie wahał się oddać mu się w opiekę, ileże pretensja jego była najsprawiedliwszą i najczystszą w świecie, a temsamem obawy być nie mogło, aby strona przeciwna przegrywając proces, krzywdy jakiej doznała.

Mimo że pan mecenas Szalborski zasłużył sobie poniekąd na moją wdzięczność, czułem do niego wstręt niepohamowany. Ale bo też i jego cała powierzchowność niewzbudzała żadnej sympatyi. Był mały, chudy, z wzrokiem bystrym, kłującym i chytrym, a przytem trochę zyz i jak to mawiano dawniej: szafran na głowie.

Przyjął mnie bardzo grzecznie i konfidencyonalnie, choć byłem młokos naprzeciw niego, ale postępowanie jego było przytem bardzo dziwne i zagadkowe. Mierzył mnie ciągle swemi nieprzyjemnemi oczyma, wypytywał i zdradziecko się uśmiechał. Nie umiałem sobie zgoła wytłumaczyć jego postępowania i mimowolnie lęk mnie przejmował, czy czasem frant stary nie zagiął parol na mnie — zdarzało się bowiem za moich czasów, że taki niesumienny mecenas, jak pan Szalborski, wygrawszy proces dla jednej partyi, szedł w usługi partyi przeciwnej otwarcie lub podszywając się pod któregoś z swych kolegów, i nękał potem pozwami tego, którego dawniej był patronem.

Chciałem się już wysunąć z pod przenikliwych oczu i rozmaitych zagadkowych pytań pana Szalborskiego, i właśnie miałem powstać i pożegnać go, gdy naraz z drugiego pokoju wyszedł jakiś młody człowiek, wysoki i przystojny, ale blady i wymokły na twarzy. Ubrany był bardzo strojnie i na wzór ówczesnych elegantów, miał na sobie kubrak z wciętemi połami z cienkiego, granatowego sukna z złoconemi guzikami, i batystowe fałdziste i śnieżnej białości żaboty. Włosy utrefione były najmodniejszym kształtem, w uchu zamorskim obyczajem kólczyk złoty, a przy kamizelce długiej, racymorowej mnóstwo świecideł i bryloków.

Jakoś mi się niepodobał ten jegomość, bo choć był młody jeszcze tak jak ja, miał coś z wczesnego starca w sobie i nieprzyjemny bardzo wyraz na gładkiej a wybladłej twarzy. Wydawał mi się tak, jakby był jednym z tych gamratów lwowskich, których się tyle było podówczas namnożyło przy zepsuciu stołecznem, a którzy obrażali przyzwoitość ludzką hulankami po *kaffezimrach* i winiarniach.

Wymokły gagatek wszedłszy do pokoju wcale niepolerownym sposobem, bo mi się nawet nie raczył pokłonić, przystąpił do pana mecenasa Szalborskiego i coś z nim mówić zaczął. Pan mecenas szepnął mu coś do ucha i nieznacznie, ale zawsze tak że mi to nie uszło, okiem w moją

stronę mrugnął. Na to ów młody człowiek postąpił kilka kroków ku mnie i począł mnie mierzyć od stóp do głowy, z uśmiechem nieco pogardliwym. Potem znowu spojrzał na pana mecenasa, i oczy ich, jakby znakiem porozumienia, skrzyżowały się nawzajem.

Mruczno mi było na takie zachowanie się gospodarza i gościa, więc też z marsem spojrzałem na gagatka, który nie dotrzymał poczciwemu a śmiałemu spojrzeniu i spuścił przygasłe oczy ku ziemi. Ja też tym jedynym kontentując się sukcesem, skłoniłem się panu mecenasowi i wyszedłem z pokoju, mówiąc sam do siebie z indygnacyą:

— Licho ich wie, czemu tak gapili się na mnie, boć ubranym przyzwoicie, choć ze wsi przybywam. Gdybym tego człowieka po raz pierwszy nie widział w życiu, myślałbym, że spisek jaki na mnie knują.

Mrucząc tak wyszedłem do kancelaryi aplikantów, przez którą trzeba było przechodzić. Pan mecenas Szalborski utrzymywał kilku aplikantów, a między nimi był jeden mój dobry znajomy i przyjaciel: znajomość jeszcze z lwowskiego pobytu. Nazywaliśmy go Mazio, choć mu na imię było Dyzma. Dobry był to chłopak i towarzysz nie zgorszy, tylko trochę tchórzliwego temperamentu. O nim też powiem więcej poniżej, bo także odgrywał rolę w mojej przygodzie. Witam się ja tedy z Dyzmą czyli z Maziem, a powitawszy się serdecznie pytam, coby za jeden był on furfant, co mnie tak od pięty do czupryny lustrował?

— To syn mecenasa, młody Szalborski — szepnął mi Mazio.

— A czemu tak nieobyczajny i czemu tak mrugał z ojcem ku mnie?

Mazio chciał mi coś odpowiedzieć, gdy nagle wyszedł z swej kancelaryi sam mecenas i stanąwszy na progu, spojrzał na nas z ukosa. Dyzma się rzucił natychmiast do roboty, bo bał się jak ognia surowego mecenasa — a ja widząc, że niema czasu do dalszej rozmowy, zabrałem się do wyjścia.

Interes mój we Lwowie był załatwiony i mogłem natychmiast wracać do Basztokola. Byłbym też to zrobił bez zwłoki, bo i serce stęsknione rwało się do powrotu, a byłbym tym sposobem uniknął może tego wszystkiego, co spadło na mnie poźniej, gdyby nie moje zamiłowanie do malarstwa, które mi tym razem srogiego miało wypłatać figla. Idąc przez ulicę, spotkałem mego kolegę z pracowni pana *Gracca*, który na mój widok aż wykrzyknął z uciechy i zadziwienia.

Opowiedziałem mu, co robię i po co przyjechałem, gdy on mnie naraz zapytał:

— A kiedy jedziesz?

— Chciałbym dziś.

— Szkoda, nie jedź, zabawisz się z nami wybornie. Przyjechał tu znowu pan Stachowicz, i malujemy dekoracye teatralne dla pana Bogusławskiego. Jest nas ośmiu przy tej robocie, malujemy bawiąc się pysznie. Zaglądnij a obaczysz.

W słabą mnie ugodzono stronę. Koleżka słowy temi wziął mnie od razu. Odwlokłem mój odjazd i poszedłem z nim do pracowni. Wesoło tu było i gwarno aż miło. Przed ogromnemi płótnami na małych drabinkach malowali malarze i uczniowie dekoracye do Izkahara, do Amazonek i do innych sztuk, które pan Bogusławski miał wystawić w amfiteatrze w ogrodzie Jabłonowskich. Śmiechu, gawęd, śpiewów i żartów było przy tem co nie miara, choć pracowano pilnie i bez przerwy.

Ledwiem to wszystko opatrzył, tak zaraz folgując ochocie, rzuciłem z siebie kubrak, przepasałem się pierwszym lepszym fartuchem, i nuże na jedną z wolnych drabinek pomagać w robocie! Przyjęto mnie z śmiechem i oklaskami, dano farb i pędzli, i anim się opatrzył, a już z planu skopiowałem jakąś boczną dekoracyę z starożytnym ołtarzem.

I tak mijał dzień jeden i drugi, a ja nie wyjeżdżałem, aż nareście minęło dwa tygodnie, a od czasu mego wyjazdu trzy nawet z okładem. I kto wie, czy byłbym się wyrwał tak prędko, gdyby nie list, który mi jednego dnia przywieziono z Basztokola. List ten był wyprawiony zaraz po moim odjeździe, ale że nieznano mego adresu, więc teraz dopiero go odebrałem. W liście tem zawierała się bardzo smutna wiadomość. Pisała go panna Jagnieszka, donosząc, że zaraz na drugi dzień po moim odjeździe z Basztokola pan marszałek zachorował niebezpiecznie, i że z tego powodu wielka rozpacz w domu panuje.

Do listu panny Kokorzyńskiej dopisała się króciutko Helenka prosząc mnie, abym wracał natychmiast. Zmartwiłem się mocno tą smutną wieścią, ale gdy spojrzałem na datę i obliczyłem, ile od dnia, kiedy list był pisany, minęło już czasu, zdjęła mnie trwoga i straszny owładnął niepokój. Począłem sobie robić gorzkie wyrzuty, że natychmiast po załatwieniu interesu nie wracałem do Basztokola, i zmartwiony, ciężkiemi obawami przejęty, natychmiast pod noc wyjechałem.

Miałem przy wózku parę dzielnych i rączych jak iskry rysaków, a stary Onufry, którego z sobą wziąłem, popędzał, co sił stało. Konie darły jak katy, pędziliśmy prawie bez żadnego popasu, choć ze Lwowa do Basztokola było trzynaście mil opętanych.

Jeszcze na parę godzin przed południem stanąłem w Basztokolu. Kazałem Onufremu jechać do mego dworku, a sam bliższą ścieżką pobiegłem na wzgórek do domostwa pana marszałka. Miałem jakieś złe przeczucie, coś mi tajemnie ściskało serce.

Stanąłem przed bramą, była zamknięta. Począłem pukać, ale daremnie; nikt nie otwierał. Niepokój mój wzrastał coraz bardziej, przesadziłem tedy opłotek, i znalazłem się na podwórzu. Pusto i cicho było na niem, jak na cmen-

tarzu. Pies tylko zaszczekał z budy, ale poznawszy mnie, ucichł wkrótce. Biegnę do drzwi, chcę otworzyć — zamknięto; pukam — nikt się nie odzywa. Chciałem zapukać do szyb, ale okiennice byłe przywarte... Zaglądnąłem przez serduszko do środka, widzę puste izby i sprzęty w nieładzie...

Lęk mnie zdjął srogi, serce z niepokoju bić prawie przestało.

Co za dziwny wypadek mógł zajść w dworku pana marszałka?...

Nie widząc innej rady zacznę głośno wołać i stukać z całej siły do drzwi — aż po dobrej chwili otwarły się drzwi od stajni i pokazał się stróż.

— Gdzie pan marszałek? — pytam go tłumiąc oddech w sobie.

— Oho — zawołał chłopek — gdzie pan marszałek! Pod ziemią już od dwóch tygodni. Już i trawa po nim zarasta!

Żal ciężki ścisnął mi serce — zdało mi się, że straciłem drugiego ojca. Chwilkę stałem jakby piorunem rażony, a wreszcie pytałem dalej:

— A gdzież panna i pani Kokorzyńska?

— Albo wiem, panie!

— Jakto nie wiesz, to gdzieżby zniknąć mogły! — zawołałem.

— Wyjechały.

— Dokąd?

— Co ja wiem, miły panie. Mnie zostawiono, aby domu pilnować, póki nie zjedzie posesor.

— Mój człowieku, mów, co się stało i jak, bo oszaleję! — zawołałem, trzęsąc chłopem jak gałęzią.

— Alboż ja mogę wiedzieć, paniczu! Jakoś w tydzień po śmierci nieboszczyka pana, zajechał tu powóz z jakimiś nieznajomymi panami. Było ich dwóch, a przyjechali jakoś z południa. Wiem tylko, że dużo było gadania we dworze, obaj panowie coś wykładali, panna płakała. A pod wieczor widziałem, jak pół prośbą, pół siłą wsadzono pannę i starszą panię do powozu — i tak szcześli jak się zjawili. Panna płakała i mdlała, starsza pani się modliła, jak już mijali bramę — ot i wszystko...

— A Jan był przytem? — zawołałem prawie obłąkany z zdumienia, przestrachu i boleści.

Jan był starym sługą pana marszałka, z którym całe prawie życie przepędził.

— Jan jak wrócił tylko z pogrzebu nieboszczyka pana, zapadł z frasunku na zdrowiu i dotąd leży.

— Gdzie?

— U księdza plebana.

Dopiero teraz wpadło mi na myśl, że przecież ksiądz Ignacy najlepiej będzie wiedział, co się tu stało, i że zamiast rozmawiać z stróżem, powinieniem był zaraz udać się do niego.

Plebania nie leżała w samym Basztokolu, ale w dość odległym, sąsiednim przysiołku.

Pognałem tam przez pola jak szalony. Zastałem księdza Ignacego w domu, ale któż zdoła wystawić sobie rozpacz moją, gdy ten zaraz na wstępie przypadł do mnie z tem zapytaniem, które ja jemu postawić chciałem. I on był zmartwiony, zaniepokojony — zniknięcie Helenki było dla niego dziwną zagadką.

Opowiadał, że pochowawszy marszałka, przez cały tydzień przesiedział prawie w dworku przy Helenie i pannie Jagnieszce, pocieszając ile możności zrozpaczone, i kojąc słowami kapłańskiemi srogą boleść, ale siódmego dnia musiał wyjechać koniecznie do sąsiedniej dziekanii, gdzie przybył ksiądz biskup z Przemyśla i zwołał kongregacją.

Gdy wrócił, już było po owym tajemniczym wypadku.

Mówił, że przed tem i po tem słał po mnie do Lwowa list po liście, abym przyjeżdżał — ale nadaremnie. Ja oczywiście listów tych nieodebrałem.

Myślałem, że mi serce pęknie od boleści i począłem rwać sobie włosy, wyrzucając sobie, że zabawiwszy niepotrzebnie we Lwowie stałem się przyczyną własnego nieszczęścia, a może zgubiłem i najdroższą moją Helenkę... Wpadłem w formalne obłąkanie, furja mną miotać poczęła, tak że ksiądz Ignacy myślał już naprawdę, że pomięszania zmysłów dostałem.

Rozpacz, boleść, szalone rozdraźnienie stargało istotnie jeżeli nie zmysły to zdrowie moje. Chwyciła się mnie maligna i straciłem pamięć tego, co się ze mną działo...

Dziesięć dni przemajaczyłem w gorączce.

Opowiadano mi potem, że tak się rwałem i szarpałem, rzucając się w szaleństwie to na księdza Ignacego, to na starego Niemca lekarza, że mnie wiązać musiano... Cud to był prawdziwy, że odzyskawszy przytomność, a z nią razem pamięć tego, co się stało, nie wpadłem napowrót w śmiertelną chorobę.

Ale młodość ma rogate zdrowie, i nie wygonisz z ciała duszy, bo ją trzyma, jak klatka żelazna. Wyzdrowiałem.

Ledwiem się na chwiejnych nogach mógł utrzymać, a zaraz rzuciłem się do poszukiwań. Nuż tedy rzucać się na wszystkie strony, nuż zasięgać języka, rozpytywać, rozjeżdżać się, śledzić, szukać, rozbijać się po okolicy—wszystko nadaremnie...

Jeździłem do Kreiskapitana do Przemyśla, prosiłem o wiadomość, o pomoc. Kusy Niemiec wysłuchał, zadziwił się, nakłał od *schwere Noth* i trzydziestu czterech *sappermentów*, rozesłał *landsdragonów*, obiecał zrobić *Bericht* do gubernium i czekać kazał...

Warjacja — istna warjacja czepiała się człowieka. Zdesperowałem z kretesem, bo dwa miesiące już minęły, a tu ani śladu. Kamień w wodę i kwita. Rzecze tedy raz do mnie ksiądz Ignacy:

— Takie ślepe miotanie się na nic się nie przyda. Trzeba

się uspokoić i rozumnie wziąć do dzieła. W całym tym dziwnym i niepojętym wypadku zawierać się musi jakaś tajemnica, jakaś szkaradna intryga ludzka, której dziś daremnieby rozumem dochodzić, ale którą Bóg najłaskawszy rozjaśni niezadługo. Jedź, panie Józefie, do Lwowa, do stolicy, tam się przecież schodzą mniej więcej nici całego kraju, łatwiej tam o ludzi i wiadomości. We Lwowie właśnie teraz zaczynają się kontrakty — zjadą się ludzi z całej Polski. Szukaj wytrwale, dochodź usilnie, nie trać rozwagi i nadziei, i ufaj Bogu, a mam przeczucie, że wszystko dobrze się skończy.

Usłuchałem rady księdza Ignacego i wybrałem się natychmiast do Lwowa, mimo że mi zdrowie ciągle jeszcze nie dopisywało. Spakowałem się na długi czas, zabrałem z sobą wszystko, nawet moje malowidła i przybory malarskie, bo powziąłem zamiar, wrócić do Basztokola albo z Helenką, albo już wcale nie wracać, lecz utonąć gdzieś w szerokim świecie.

Stanąłem we Lwowie w gospodzie i zabrałem się zaraz do moich poszukiwań, choć mi je trudno było według rady księdza Ignacego prowadzić spokojnie i rozważnie, bo w sercu i głowie się paliło. Kontrakty jeszcze się nie były zaczęły, czekałem więc jeszcze na nie, choć już nadzieję straciłem i rozpacz mnie ogarniała.

Tak minęło znowu trzy tygodnie śród daremnych usiłowań. Rozpisywałem listy, łapałem brację szlachtę z najrozmaitszych okolic po ulicach, przebywałem całemi dniami w kontraktowej sali u pana Hechta — ani śladu! Nawet u dyrektora policyi pana Streichera byłem, ale i ten nie umiał dać rady.

Tymczasem zwaliło się do Lwowa szlachty na kontrakty co nie miara. Pokój gospodni, w którym mieszkałem, był zamówiony przez jakiegoś szlachcica z góry, gdy przyjechał — musiałem ustąpić. Tymczasem pomieszkania wszystkie tak były zajęte, że podzieć się gdzie nie było.

Nowy ztąd dla mnie kłopot, gdzie się ulokować! Byłbym się znalazł może po prostu na ulicy, pod gołem niebem, bo w mojem strapieniu radzić sobie nie umiałem, gdy raz, jakby przez Boga zesłany, spotkał mnie aplikant Dyzma na ulicy. Wiedział on już o niesłychanej przygodzie i nawet mi poczciwina pomagał, co mógł. Lustrowaliśmy z nim wszystkie żeńskie klasztory.

Skarzę mu się, że na domiar frasunku mieszkać gdzie nie mam. On mi na to:

— Pomieszkania teraz tak łatwo nie znajdziesz, bo zjazd niesłychany. Ale miałbym sposób, tylko się trochę obawiam.

— At, nie obawiaj się Maziu, ale radź co możesz, bo chyba czarapary na odwachu dadzą mi kwaterę.

— Jest tu na przedmieściu żółkiewskiem stary dom albo raczej pałac, który należy do klienta mego pana mecenasa. Właściciela nie ma, dom stoi pustką i jest pod administracyą pana Szalborskiego. Jest tam jeden pokój, który się dawniej wynajmywał, ale teraz nie ma lokatora. Mam klucz do tego pokoju, i możesz się tam sprowadzić. Ale to wszystko stać się musi chyba w sekrecie, bo pan mecenas mówił wyraźnie, że już tego pokoju nie można dalej odnajmywać.

Już nie długo miałem zabawić we Lwowie, a i tak miałem wyjechać na kilka dni na kordon, aby się pod Brodami dowiedzieć, ażali gdzie niema jakiego śladu, bo mi przychodziło na myśl, że Helenka może gdzie za kordon wywieziona. Przyjąłem tedy propozycyą poczciwego Dyzmy i zaraz pod wieczor przeniosłem moje rzeczy do pustego domu i do oznaczonego mi pokoju.

Chociaż zajęty byłem mojemi myślami i moim frasunkiem, przecież nie mogłem nie zwrócić uwagi na to domostwo.

Był to gmach stary, niby pałacowym stylem zbudowany, ale ciężki i niekształtny. Stary był bardzo, a że nikt go nie restaurował, więc wyglądał już jakby rudera. Stał w oddaleniu od innych domów i od ulicy, od której przedzielał go mur na pół rozwalony. Po obu bokach frontu rosły dwie stare, wysokie topole, a nagie już całkiem, bo to było już pod zimę, sterczały o zmroku wieczora jak dwa olbrzymie czarne słupy.

Dom ten był jednopiątrowy i miał żelazny duży balkon, oparty na dwóch słupach, a dźwigany przez dwie karyatydy, wystawiające ludzkie potwory z szkaradnem obliczem, wykrzywionem w satanicznym, szyderczym uśmiechu. Obok tych dwóch głównych karyatyd służyło temu dziwacznemu domostwu za ozdobę mnóstwo maszkar i larw przebrzydłych, a wszystkie patrzyły na ciebie oczyma zmory, i jak wiedźmy śmiały się ku tobie...

Przyznam się, że dom ten stary nie bardzo miłe sprawił na mnie wrażenie. Coś w nim było strasznego i tajemniczego; zdawało się, jakoby nie ludziom ale upiorom służył za mieszkanie... Ale ja nie miałem czasu o tem myśleć.

— No i cóż, będziesz tu mieszkał? — zapytał Dyzma.

— Oczywiście, i mocno ci dziękuję za usługę przyjacielską...

— Podziwiam twój rezon, Józefie...

— A to z jakiej przyczyny? — zapytałem.

— Bo jabym nie miał animuszu przespać choćby noc jedną sam w tym szkaradnym domu... Powiem ci nawet, że sąsiedzi mówią i zaklinają się, że tam coś straszy po nocach.

— Furda Maziu! — zawołałem — mam szablę w Częstochowie święconą i parę konfederackich kul w pistoletach! Przyjdą djabli ja do szabli!

Zbywszy tak obawy Dyzmy wziąłem klucz od mego nowego pomieszkania, bo z przyczyny mej podróży po nad kordon nie miałem w niem zaraz zostać, i wróciwszy do miasta—wyjechałem. Ale i ta wycieczka pozostała bez naj-

mniejszego skutku. Zjechałem spory kawał kordonu, wypytując i śledząc wszędy; straciłem znowu kilka dni i wróciłem do Lwowa z niczem.

Wysłałem konie do zajazdu, a sam pieszo udałem się do mojej stancyi. Do pokoju mego szło się przez długi, ciemny korytarz, tak że ledwie domacać się mogłem drzwi. Domacawszy się w końcu, otwarłem i znalazłem się u siebie....

Przypomniałem sobie teraz dopiero, ze nie miałem z sobą światła. Zakłopotałem się tem trochę, ale pocieszyłem się łatwo, bo i na cóż było mi potrzeba świecy, kiedy księżyc świecił jasno w pełni, i oblewał całą strugą światła moją izbę.

Rozglądnąłem się po raz pierwszy dokładniej po mojem pomieszkaniu. Była to długa a wązka komnata staroświecka. Mimo zaniedbania i ruiny poznać było łatwo, że należała do świetnych jakichś, pańskich apartamentów.

Ściany były po większej części wyłożone ciemnem polerowanem drzewem i ozdobione rzeźbami, a pułap także cały był okryty sztukateryą. Rzeźby te były podobne owym, które oglądałem na froncie domostwa: same maskarony i larwy szyderskim śmiechem powykrzywiane.

Ozdoby te dziwne nadawały całej izbie coś fantastycznego, a nawet strasznego.

Meble kurzem okryte dziwacznych także były kształtów i licowały z całą ponurą powierzchownością izby. W jednym końcu stała ogromna szafa, ozdobiona snycerską robotą, a naprzeciw niej wprawione było w ścianę duże, weneckie zwierciadło, z jednej ogromnej płyty, sięgające od podłogi aż pod powałę.

Naprzeciw tej szafy był baldachim z czerwonego, ale spłowiałego już adamaszku. Za kotarami znalazłem duże rzeźbione i rozmaitemi ozdobami wykładane łóżko, usłane skórzanym materacem. Wydobyłem z podróżnego kuferka poduszkę i burkę zimową i uścieliłem sobie na spoczynek.

Wprawdzie sen nie chwytał się mych powiek, ale byłem strudzony podróżą. Położyłem się tedy i odsunąwszy trochę kotary adamaszkowe, tak abym na komnatę mógł patrzeć, począłem dumać. Wzrok mój jednak nie mógł się oderwać od dziwacznego urządzenia izby.

Przy mgławem świetle księżyca patrzyły na mnie potwory i maskarony z ścian i pułapu, i zdawało mi się, że oczy ich się ożywiają i mrugają na mnie, że usta wykrzywione po djabelsku poruszają się i lada chwilę przemówią do mnie...

Byłem odważnego serca — ale mimo to czułem, że mi nieprzyjemnie w tej samotnej, fantastycznej komnacie. Opatrzyłem pistolety, oparłem szablę przy łóżku i odwróciłem się w drugą stronę, usiłując usnąć.

Ale w mojem położeniu sen był trudnym. Nawał myśli cisnął mi się do głowy, a myśli te były frasobliwe i przykre. Rozmyślałem nad dziwnym, nieodgadnionym wypadkiem, który wyrwał mi Helenkę a z nią razem moje szczęście i spokój... Zdało mi się, że mi pęknie głowa śród najrozmaitszych domysłów, przypuszczań i dociekań, które razem stanowiły tylko daremne szamotanie się rozumu, aby rozwiązać tę niesłychaną zagadkę.

Gdy umysł znużony temi myślami odmawiał już prawie posługi, a serce szukało ulgi w swej żałości — począłem przywodzić sobie na pamięć owe szczęśliwe chwile, które poprzedzały ową tajemniczą katastrofę. Stanął mi jasno na myśli cały ów świat mego szczęścia, cały raj mej młodości. Przypominałem sobie wszystkie chwile spędzone słodko w dworze pana marszałka Oleszy, pod bokiem ukochanej Helenki, wszystkie rozmowy, które prowadziliśmy, wszystkie drobne zajścia i sceny tego zacisznego, spokojnego życia w Basztokolu.

Nic dziwnego, że wspomniałem także o żółtym generale z baszty, który przecież był jednym z świadków tej najmilszej pory mego życia... Stanęła mi żywo w pamięci owa scena, kiedy to zabierając stary konterfekt z sobą, wzywałem żółtego generała na świadka mej miłości do Helenki, a nawet w pustym żarcie jego protekcyi u Lucypera w razie potrzeby żądałem.

Co wówczas mówiłem żartem, to dzisiaj byłbym był gotów powtórzyć z szaleństwem rozpaczy, bo istotnie zwątpienie zamąciło moją znękaną duszę... Gdyby nie uczucie religijne, byłbym był wzywał istotnie w szale moim księcia piekielnego, aby on szedł mi w pomoc i wyświecił całą zagadkę.

Ale wspomnienia basztokolskiego życia spadły łagodzącą rosą balsamu na serce — i rozpacz zamieniły w rozrzewnienie jakieś żałośne... Łzy puściły mi się mimowolnie z oczu — począłem płakać jak dziecko.

Naraz przez kotary adamaszkowe oblała mnie struga jasnego światła, bijącego z głębi staroświeckiej alkowy... Równocześnie usłyszałem szmer lekki, jakby ciche, ale wyraźne stąpanie...

Przypomniało mi się, gdzie jestem, i strach mnie nagły objął zimnym dreszczem. Mimowoli sięgnąłem po pistolet i podniósłszy się na łóżku rozchyliłem kotary i spoglądnąłem na izbę...

Włosy stanęły mi na głowie i dech zaparł się w piersi...

Miałże to być sen, czy złudzenie oka?... Nie spałem przecież, a to co ujrzałem, było tak wyraźne, tak prawdziwe, tak żywe, że łudzić się nie mogłem...

Przed zwierciadłem, o którem mówiłem, stał w pełnym swym mundurze żółty generał!...

Tak jest! on to był żywy... jakby zszedł z płótna basztokolskiego konterfektu...

Stał przed zwierciadłem i przyglądał się sam sobie... Poznałem tę samą twarz chudą, kościstą i ostro markowaną,

te oczy czarne przenikliwe, nos skrzywiony i długi, brodę spiczastą... Ale twarz ta teraz przejęła mnie niewypowiedzianą zgrozą, bo była żywa i jakimś demonicznym wyrazem odznaczona.

Upior ubranym był najzupełniej tak samo, jak generał z portretu. Ten sam żółty frak z haftami, z szarfą i orderem, ta sama szpada biało oprawna, ta sama fryzowana i pudrowana peruka z pizonami i katagonem...

Stojąc przy dużem źwierciedle przyglądał się sobie i swemu uniformowi. Pod pachą lewego ramienia trzymał swój trójgraniasty kapelusz, a w prawem ręku trójramienny lichtarz z świecami.

Nie! to nie mogła byćułuda... Upior był żywy i ruszał się — świece w jego ręku paliły się jasnym płomieniem...

Zimny pot mnie oblał— chciałem zawołać... nie mogłem... Wzrok mój utkwił w widziadło i jakby więziony czarnoksiężką siłą, oderwać się odeń nie mógł.

Żółty generał przeglądał się chwilę w zwierciedle, potem cofał się powoli w tył... Rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie w wenecką szybę —· obrócił się... usłyszałem kilka stąpań cichych... i widziadło znikło...

W pokoju zrobiło się znowu ciemno...

Chwilę siedziałem jeszcze w mojej pozycyi, jak skamieniały — aż przyszedłszy nieco do siebie, choć cały jeszcze potem zimnym oblany, rozsunąłem kotary i stanąłem na środek izby...

Rozglądnąłem się...

W izbie było cicho i głucho...

Drzwi od korytarza były zamknięte, a innego wyjścia nie było...

— Wszelki duch chwali pana Boga!... szepnąłem przerażony i opatrzyłem pierś zastygłą znakiem krzyża świętego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RÓŻNOŚCI

OFIAROWANE DOŚWIADCZONEMU PRZYJACIELOWI

JÓZEFOWI JGNACEMU K............

PRZEZ

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Dokończenie.)

V.

O JAGODZIE, CO CHCIAŁA ZOSTAĆ JASKÓŁKĄ.



Jakie równe pole!
Patrzę w koło siebie:
Co kwiatu na dole,
Co nieba na niebie.

Żebym miała piórka,
Żebym skrzydła miała,
Od matki podwórka,
Wnetbym poleciała —

Gdzie się lasek chmurzy,
Gdzie się wody złocą,
Gdzie niebo z za wzgórzy
Świeci się przed nocą.

Matka u kądziółki
Siedzi w progu chatki,
Wracają jaskółki,
A ja buch do matki.

Skrzydełkiem ją musnę
Po tym ślicznym włosie,
I pod strzechą usnę,
Na chłodzie, na rosie.

Wołają jagódki,
A jagódka w strzesze;
Dla mateńki smutki,
A ja się nacieszę.

Jeśli ja nicpota,
Jeśli robię szkody,
Moja matko złota,
Nie płaczcie jagody.

Dobra matka prządka,
Niechaj łez nie leje,
Znów dziewczynka z kątka,
Do niej się zaśmieje.

Niech twe łzy nie płyną,
Odbiegłam na krótko;
I byłam ptaszyną,
Teraz znów jagódką.

VI.

DWIE DUSZE.



Gdzie jasne gwiazdy oczom nie świecą,
Ze dwojej strony dwie dusze lecą.
Pierwsza okryta płachtą, ponura,
Po tamtym świecie leci jak chmura.
A druga biała okryta biało,
Jakby się słonko chmurką odziało.
Kiedy się zbiegły dwie nieboszczyce,
Spojrzały sobie w umarłe lice.
— To ty Barbaro? — To ty Maryjo?
I swoje długie duchny rozwiją
— Jaka ty czarna, powiedz siostrzyczko,
Coć poczerniło rumiane liczko?
Tyś była taka biała jak ściana,
A czasem jakby róża różana —
Czy ciebie w jakiem ziele kąpano,
Czy tobie złego ziela zadano?
— Ej! nie to, nie to, od liści ziela
Człek ni się czerni, ni się wybiela;
Ja nieraz matce hardo odrzekła,
Że aż niebodze i łza pociekła,
I takć' krótkiemi powiem słowami,
Cała ludzkiemi zmyłam się łzami.
A łzy co na mnie spadały marną,
Taką mnie oto zrobiły czarną.
Lecz ty mi powiedz siostro bez grzéchu,
Na jakim się ty bieliła blichu?
Pamiętam ciebie jak źęłaś zboże,
Popychadełko, czarne nieboże,

Miłosiernemi patrzy oczyma,
A dzbanek z wodą ledwie utrzyma;
Kto spojrzy na cię, to się odwróci,
A kto wesoły to się zasmuci.
I w jakim się ty zdroju kąpała,
Żeś wybielała i wypiękniała?
Czy na tym stawie, na tem jeziorze,
Gdzie łabędź pływa pod złotą zorzę,
I od niedzieli tak do niedzieli,
Szerokie skrzydła płucze i bieli.
Czy w ciemnym lesie, kędy z pod drzewa
Zdrój się tajemny cicho wylewa? —
A owa rzecze głosem pokornym,
Jakby dalekim chórem klasztornym,
Kiedy pod koniec cichego dzionka,
Siostry się zejdą za głosem dzwonka.
— Jam się nie myła w jasnem jeziorze,
Gdzie łabędź pływa pod złotą zorzę,
Ani w tem źródle, co w lasów cieni
Z pod drzew wiekowych leci zieleni
I niezabudek odwilża oczy,
I skierki moczy, sasanki moczy.
Otóż krótkiemi powiem słowami:
Ja się własnemi obmyłam łzami. —
To rzekłszy w płachtę zwinie się białą,
I leci w stronę gdzie powidniało.

VII.



Tęsknota.

Czy mnie matka porodziła
Pod nieszczęsną gwiazdą?
Czy mi wiedźma określiła
Rodzicielskie gniazdo?

Całe noce, dnie i lata,
Płaczę bez ustanku,
Przyszły swaty, niechcę swata,
Czekam swego Janka.

Oj! poleciał, oj! pogonił
Na polską wojenkę,
I ojczyzny nie obronił,
I rzucił dziewenkę.

Sama kołacz piekłam w drogę
I szkaplerzyk dała;
Odjechałci mnie niebogę,
Com go tak kochała.

Zima idzie, liść opada,
Nim sioła zacichną,
Nocą pućka na dach siada,
Woła puć! Marychno.

Nim ja ujrzę, nim zobaczę
Kochaneczko ciebie,
Pierw się matuś moja spłacze,
Na moim pogrzebie.

Oj przyszpilcie mi nad głową
Rozmarynu ziele,
Oj zapleććież mi różową
Wstążkę na wesele.

Zaspiewajcie mi piosneczkę,
Moje siostry młode,
Pochowajcie swą dzieweczkę
Marychnę urodę.

A miłemu jak zastuka
Do chaty matczynej,
To powiédźcie, niech nie szuka
Marysi jedynej.

Leży ona przy kościele
Pod zimną mogiłą,
Świętą ziemię zielska wiele
Nad nią umaiło.

W polu cicho wietrzyk szumi,
Co smutku, tęsknoty...
Ptaszek spiewa tam jak umié,
Lata motyl złoty.

VIII.

Mgły poranne.



Mgła nad wodą się podnosi
W przedpogodne ranie;
A dziéwczę co wodę nosi,
Zamyślone stanie.

Patrzy, patrzy, jak mgła siwa
Wzbija się pod słońce,
Przez nią słońce się dobywa
Jak nitki świécące.

I ta szara taka brudna,
Kiedy była nizko,
Zrobiła się taka cudna,
Dziwne widowisko.

Zamyśliło się stworzenie
O sukience złotej,
Aż jej przerwie zamyślenie
Anioł stróż sieroty.

„Co tak patrzysz duszo droga,
Czybyś zajrzeć miała?
Jak podniesiesz się do Boga,
Będziesz jasna cała.“

Sprostowanie: W poezyi Lenartowicza „Lilia i Dąb“ zaszła pomyłka w przedostatnim wierszu; zamiast: Tobie będzie przejrzenie powinno być: Takie boskie przejrzenie.

ARCHIKATEDRA
OBRZĄDKU RZYMSKO-KATOLICKIEGO
WE LWOWIE.

Od założenia swego (powtórnego w r. 1342) przez Kazimierza W. przeznaczony został Lwów na stolicę trzech metropolij. Jeżeli bowiem jeszcze Kazimierz niezaprowadził od razu trzech biskupstw (dziś arcybiskupstw) we Lwowie, to jednak położył on ku temu pierwsze posady.

Odznaczają te trzy metropolje Lwów podobno między wszystkiemi miastami chrześcijańskiemi, bo nieznaleźliśmy po najpilniejszem wartowaniu różnych dzieł geograficznych drugiego na ziemi miasta, któreby posiadało trzy archikatedry i było stolicą trzech djecezyj.

Godną jest niemniej uwagi, że wszystkie trzy archikatedry lwowskie zostały równocześnie założone.

Żadna jednak nie zachowała podobno tak wiernie swojego pierwotnego kształtu, jak rzymsko-katolicka archikatedra. O świętojurskim kościele niemamy pod tym względem żadnej wątpliwości, że niema najmniejszego podobieństwa do swej dawnej postaci. Ormiański kościół był z początku (jak Zimorowicz i i. donoszą) częścią drewniany, częścią zaś murowany, a zatem od dzisiejszego odmienny, chociaż plan jego nieuległ zmianie.

Katedra jednak łacińska wzrastała zwolna z kamienia, i po dziś dzień pomimo 500 lat trwania, pomimo różnych przyozdobień, dodatków i ubytków w budowie ostatecznie wykończoną niezostała. Najlepiej świadczy o tem brak drugiej wieży, która stoi, jak niedorosła siostrzyca obok poważnej wiekiem i wzrostem matrony. Takie niewykończenie drugiej wieży stało się, jak to słusznie zauważył jeden z artystycznych opisywaczy tego kościoła (Felicjan Łobeski), już poniekąd typem architektonicznym owych gotyków, które zaskoczone zostały przez zmiany w stylu architektonicznym, nim zdołały uwidocznić swoją postacią styl owego czasu, który je zrodził.

Archikatedra lwowska jest to skromny, prosty gotyk, który niemniej uderza brakiem ozdób zwyczajnych tego rodzaju świątyniom, gdzieindziej wzniesionym, jak te olśniewają swoim architektonicznym przepychem.

Nie wznosi ten kościół owych smukłych iglic wieżycowych ku niebiosom jak św. Szczepan w Wiedniu, ani wież z ukoronowanemi głowami, jak inne sławne tumy zachodniej Europy. Brakuje mu też tego płaszcza jakoby utkanego z kamiennej koronki, którym się pysznie przyodziały dumne świątynie innych miast jednobiskupich.

Jak pokorny ubogi kapłan w nieozdobnej sutannie, stoi ten kościół poważny prostotą swych murów.

Jakaż tego przyczyna? Miałożby to świadczyć o ubóstwie smaku artystycznego, o braku zapału religijnego i ofiarności pobożnej w mieszkańcach, czy też o ubóstwie kraju i miasta?

Nim o tem sąd nasz wydamy, posłuchajmy co donosi o tem rękopism oparty oczywiście na podaniach i zapiskach pochodzących od ludzi współczesnych, którzy patrzyli na powolny wzrost kościoła.

„Kazimierz II. Wielki, król polski, położył pierwsze fundamenta kościoła tego w r. 1344 pod wezwaniem ś. Trójcy, przeznaczając także na to pewne dochody obecnie niewiadome“. Dodać należy, co Zimorowicz podaje, że Kazimierz ślubem się zobowiązał do wybudowania tego kościoła.

„Został jednak (są słowa rękopisu zgodne z wiadomością Zimorowicza) kościół tylko w fundamentach, gdy Kazimierza W. śmierć zaskoczyła, i byłby tak dłuższy czas niżej poziomu leżał, gdyby mieszczanie sami niebyli się przyczynili do wzniesienia jego muru. Udali się oni przedewszystkiem z prośbą do Ludwika, odzywając się do jego królewskiej szczodrobliwości, niewyjednali wszakże od niego oprócz świetnych przyrzeczeń nic więcej, jak tylko szczupły dochód z młyna i jeden łan ziemi.

„Pomimo tego, wśród ubóstwa, rzec można żebraczego owych czasów i małej jeszcze nader liczby prawowiernych, sami mieszczanie wyżebranemi datkami uzupełniali fundusze potrzebne na wykończenie budowli.

„Piotr Stecher całe swe życie budowaniu kościoła tego poświęcając, nie ustraszoną pracą i 100 kopami (groszy) ze swojego majątku ofiarowanemi doprowadził do tego, że stanęła pierwsza część gmachu z ołtarzem i chórem dla księży, a kopułę Gonzaga (?) niemiec rodem, za 130 kóp groszy do r. 1404 zawiesił“.

„Następnego roku Maciej, przełożony przemyski, mając sobie poruczoną opiekę kościoła lwowskiego przez papieża, w obec przełożonego Jakóba Strepy niedokończony jeszcze gmach poświęcił. Odtąd zaczęli mieszczanie lwowscy współubiegać się w szczodrobliwości około wzbogacenia kościoła, i nieznalazł się najuboższy, którzyby choć najmniejszym datkiem się nieprzyczynił, niosąc ten kruszec bity ów srebro surowe na kościelne naczynia w ofierze, inni inne potrzeby do służby bożej.

„Dla tego też stanęły po krótce trzy ołtarze z przodu umieszczone, okna z różnobarwnych szkieł, i krzesła dla służby kościelnej zostały sprawione. Pod kierunkiem Jerzego Schollara, przełożonego budowniczego, Joachim Grom, murarz z Wrocławia sprowadzony za nagrodę 330 florenów dalszą kościoła nawę sklepieniami kończastemi zamknął do r. 1481.

„Następnie Hans, cementarz (sztukador), doprowadził sklep nad portykiem do wiązania, za którego utwierdzenie 34 flor. zaliczył r. 1493. Tenże w najbliższem lecie poboczne nawy, otaczające skrzydła kościoła pokrył“.

Na tem kończy się zabytek ten, którego niestety inaczej do rąk dostać niemogliśmy jak tylko w bardzo nieumiejętnie sporządzonym odpisie, ale którego sama osnowa nosi na sobie ślady dawnej starożytności i wiarogodności. Dokument ten wypisanym został, (jak świadczy uwierzytelnienie odpisu) przez Fr. X. Jaśkiewicza, który się podpisywał: „S. R. Majest. Secret. Judicii Civilis et Officii advocatialis juratus Notarius“ z bardzo dawnego kodexu w miejskim archiwie lwowskim. Jeżeli, da Bóg, uda się nam uzyskać przystęp taki do tego archiwum, aby oryginał ten odszukać, nieomieszkamy uzupełnić niniejszą naszą wiadomość. Dziś zadowalniać się musimy tem, że wskażemy może komu drogę do dalszych poszukiwań.

Jakkolwiek samo wykończenie długo trwało, niecierpiały przecież na tem sprawy kościoła i niebrakło na obfitych darach i ofiarach. Tak od królowéj Jadwigi otrzymał kościół w darze kosztowne przybory, i król Jagiełło wiele przyczynił się do pokrycia kosztów budowy.

Natychmiast po wybudowaniu katedry ustaliło się tam bractwo tak zwane Literatów, którego początek wprawdzie zupełnie jest inny, niżby nazwa według dzisiejszych wyobrażeń wskazywała, jednak rzeczywiście stało się to bractwo poźniej zbiorowiskiem ludzi poświęconych naukom i posiadających stopnie akademickie. Bractwo to istniało już przedtem we Lwowie i przeniosło się z kościoła przedmiejskiego do katedry.

Przewodniczyli odtąd diecezyi mężowie słynni już to w dziejach kościoła już Rptéj. Tak w r. 1411 zmarły arcybiskup Jakób Strepa słynnym był z bogobojności i cnót i uważany był za cudotwórcę. Mikołaj Trąba, który jak wiadomo nawet na apostolską stolicę do Rzymu był powałany, ale przeniósł ojczystą infułę nad papiezką tjarę, był także przez krótki czas lwowskim arcybiskupem. Następcą Trąby był Jan Rzeszowski za którego właściwie dopiero (1414) stolica arcybiskupia z Halicza do Lwowa przeniesioną została. Że wtedy niemusiała duchowieństwa obu kościołów żadna waśń dzielić, pozwalamy sobie z tąd wnioskować, że Zimorowicz opisujący uroczystość przeniesienia stolicy, powiada jako: w wigilją Bożego narodzenia pod przewodnictwem Włodka, wojewody ruskiego, i Iwona rządcy Rusi, wojsko i miasto wyszło naprzeciw arcybiskupa w świetnym orszaku, któremu towarzyszyło duchowieństwo rzymskie i ruskie. Ten Rzeszowski tedy, który właściwie był pierwszym arcybiskupem lwowskim, przyczynił się znacznie do przyozdobienia „domu pańskiego“, a co godna uwagi, że zaprowadził obok używanych w nim dotąd niemieckich kazań, także stałe polskie kazania.

Następnie (r. 1429) zaprowadził król Jagiełło zgromadzenie kanoników przy tym kościele, których ustanowił 10 aby się za „bezpieczeństwo Rptéj, zdrowie króla i zbawienie dusz. jego małżonek modlili“.

Od połowy XV. w. staje się kościół ten, jako metropolitalny, oraz miejscem pogrzebu dla wielu znakomitych w dziejach narodu mężów, a z tąd mnożą się grobowce i kaplice. Tak pierwszy w r. 1450 pochowany tutaj Michał Buczacki, poległy w wyprawie wołoskiej, stał się powodem, że rodzina Buczackich założyła była przy archikatedrze lwowskiej osobną kaplicę Buczackich.

W tym wieku (XV) jaśniała stolica arcybiskupia lwowska znakomitym plebejuszem Grzegorzem z Sanoka, którego pamięć nawet pomnikiem żadnym nie jest uwieczniona, pomimo, że mu dzieje narodu ważniejsze przyznają stanowisko, niż niejednemu z uświetnionych pomnikami. Grzegorz z Sanoka po dłuższym (32letnim) zajmowaniu stolicy zmarłszy, znalazł godnego siebie następcę w Janie Długoszu, ale ten nie zdołał nawet objąć rządów archidiecezyi, bo przedtem, jak mówi kronikarz, „po drodze ustał“.

W tedy to został kościół katedralny wykończony i do tego czasu odnosi się ów w przytoczonym już wyżej zapisku znajdujący się ustęp (który także i w kronice Zimorowicza się znachodzi).

Nastąpił na stolicę arcypasterską (1480) Jan Strzelecki Wątrobka, „przybywszy w towarzystwie Cesława Kurozwęckiego W. kanc. kor. i Spytka z Jarosława ku wielkiej zrazu radości duchowieństwa i ludu, która wkrótce jednak na wielki się smutek zmieniła“, bo do życia wojskowego, wytwornego i lubieżnego przyzwyczajony niemógł powściągnąć swych chuci — a co najgorsza, gdy własnych dochodów niestawało sięgnął po kanonickie folwarki, skąd spory rozliczne powstały.

Kościołowi przybyła wszelako ozdoba we wielkim ołtarzu. Jakób Zyndrych zapisał na to 200 grzywien. Umieszczono wtedy w tym ołtarzu inny obraz, niż ten, który dzisiaj tam się mieści. O tamtym bowiem pisze kronikarz, że tablice bez wszelkiej rzeźby, heblem wygładzone zostały i na nich wymalowano tajemnice Chrystusa cierpiącego. Obecnie zaś znajduje się na tem miejscu inny obraz, przedstawiający Matkę Boską z dziecięciem na ręku, a to w postawie siedzącej trzymającą dzieciątko po prawej stronie, które obejmuje prawą rączką twarz

Matki N. Jestto obraz zrobiony, jak wnioskował Łobeski, podług wizerunku znanego w Niemczech pod nazwą Maria-Hilf. Obraz ten zdobią obecnie bogate korony z kruszcu, takież tło i sukienki już po przeniesieniu zawdziane; widzianym bywa tylko w dnie uroczyste, gdyż całą przestrzeń środkowych filarów ołtarza wraz z nim zasłania w dnie powszednie wielki obraz kolosalny: „Wniebowzięcia Marji Panny, utworu pana Marcina Jabłońskiego“.

Co zaś tej okoliczności się tyczy: jak ten obraz w miejsce dawnego się dostał, jest o nim wiadomość łącząca go ściśle z wewnętrznemi dziejami miasta Lwowa. Obraz ten pochodzi od Józefa Wolfowicza, malarza i geometry lwowskiego, który odmalował ku pamięci Katarzyny Domagaliczownej, zmarłej córki Jana Domagalicza, obywatela lwowskiego, wizerunek Matki Bożej na niewielkiej tablicy, która jako nagrobek na zewnętrznej stronie kościoła od wschodu wprost wielkiego ołtarza utwierdzoną była. Gdy lud modlący się przed tym obrazem cudów doznawać zaczął, wystawił Jan Domagalicz w tem miejscu kaplicę w r. 1645. Ponieważ kaplica ta odwodziła pobożnych od głównego nabożeństwa i lud tam spiewający przeszkadzał często odbywaniu się spokojnemu obrzędów przy głównym ołtarzu, więc kaplica została zamkniętą i rozebraną. Sam obraz został za staraniem władz miejskich i arcybiskupa Sierakowskiego a przyzwoleniem Rzymu przeniesionym z wielką uroczystością do głównego ołtarza.

Co się z dawnym obrazem stało, może innym razem będziemy mogli czytelnikom naszym powiedzieć, gdy odwieczne pyły archiwów ustąpią miejsca naszej ciekawości.

Wolfowiczów i Domagaliczów imiona są kilkakrotnie połączone z dziejami naszego kościoła. Jakoż zdobi po dziś dzień potret Domagalicza mury naszej katedry.

Główny gmach katedralny, który dziś stoi w całej pierwotności swoich kształtów, był jakoby głównym punktem krystalizacyjnym, około którego wzrastały coraz nowe gmachy poboczne; i tak powstała zwolna kombinacya architektoniczna, wśród której pierwotna postać zaledwie była do poznania. Przy schyłku wieku XV. zostały (około r. 1493) wykończone dodatkowe budynki, jako to: zakrystje, chór wyższy tylny, boczne nawy, mianowicie sklepieniami zostały te części gmachu pokryte; przy którejto budowie zmiankowany jest Jan murarz, jakoby rzeczy za skromną zapłatę dokonał. Równocześnie osadzony został na stolicy arcybiskupiej Andrzej Róża Boryszewski, poprzedni biskup przemyski (1494). Niedługo potem postąpiwszy na stolicę Gnieźnieńską (kolej która niejednego ze lwowskich arcybiskupów spotkała), zastąpiony został przez Bernardyna Wilczka, który dla dziejów archikatedry ważną jest osobistością (1503). W r. 1506 przybyła kościołowi żałobna ozdoba, którą po dziś dzień oglądamy na zewnętrznej ścianie wielkiego ołtarza (od ulicy halickiej). Jestto nagrobek braci Strusiow (Szczęsnego i Grzegorza), których słusznie kronikarz nazwał ozdobą młodzieży ruskiej. Szczątki ich ciał rozsiekanych przez Tatarów złożone w jednej trumnie marmurowej złożone zostały pod wspólnym grobowym pomnikiem. W r. 1510 dopiero przyszedł kościół do posiadania organów, które mieszczanie lwowscy sprawili, jak twierdzi dziejopisarz miasta naszego, aby błagać Boga zagniewanego po nawiedzeniu miasta powodzią (rzeczy, która przy dzisiejszym stanie naszej rzeczki niepodobną się wydaje).

Częste pożary, podobnie jak inne klęski, które nawiedzały w nowych czasach nieuporządkowanego jeszcze publicznego bepieczeństwa, oszczędzały długo katedrę, chociaż miasto, jak twierdzi poetycki kronikarz, było kochanką zarówno Marsa jak Wulkana. W r. 1529 jednak pożar, który nastręczył kronikarzowi porównanie Lwowa z Troją, Jerozolimą i Sodomą, wybuchnąwszy w Libańskim browarze naprzeciw kościoła OO. Franciszkanów ogarnął całe miasto: krakowską, ormiańską, zamkową, szewską, halicką ulicę, wierzę miejską zniszczył „wraz z konzularnemi pokojami“, nareście dosięgnął katedry i pomimo najsilniejszej obrony dach pochłonął, wierzę zniszczył, dzwony stopił, a z drugiej strony przeniósł się aż na wioskę Wzniesieniem zwaną (dzisiejsze Zniesienie). Wilczyk arcybiskup ze swoich dochodów kościół wyrestaurował i nowe dzwony zawiesił.

Od tego czasu nieuległ kościół żadnym stanowczym i bardzo ważnym zmianom, chociaż z miastem dzielił najważniejsze koleje losu. Wzrastała katedra w fundacje i ozdoby, z których najważniejszą jest istniejąca po dziś dzień Bojmów kaplica.

Rządy arcybiskupów: Piotra Starzechowskiego (od 1541—1552), którego kronikarz dla jego powagi nazywa Heraklitem, Felixa Ligęzy (1555—1560), którego tenże sam dla lekkości umysłu Demokrytem przezwał, następnie Piotra Tarły ze Szczekarzowic (1562—1565), Stanisława Słomowskiego (1565—1575), Jana Sieminskiego (1577—1583), Jana Dymitra Solikowskiego (1583—1603), Jana Zamojskiego z Grzymałów (1605—1615), Jana Andrzeja Pruchnickiego (1615—1634) były dla kośaioła katedralnego czasami tylko błogiego spokoju i wzrostu.

W r. 1635 został Stanisław Grochowski arcybiskupem. Z inwentacji przy objęciu przez niego stolicy okazuje się, że kościół posiadał w srebrze i złocie znakomite sprzęty, oraz wzmiankowane są sprzęty kaplicy Kalinowskich, czyli kustodjalne, jako dawniejszy zapas skarbu. Istniała wtedy także kaplica Zamojskiego. Posiadała wtedy już kapituła wiele z dzisiejszych swoich dóbr. Tak o zapisie Dobrzynic, o posiadaniu Wielbląża, Hodowicy, Żydatycz, niepomnąc już o arcybiskupich dobrach stołowych,

do których Dunajow i Konkolniki od najdawniejszych czasów należały.

Wzmiankowany jest często w tych czasach (w początkach wieku XVII) ołtarz św. Rocha, który z powodu zarazy w r. 1624 i 1629 przez Fryderyka Grosa i Stanisława Dobroszowskiego imieniem cechu cyrulików wystawiony został, a Zimorowicz dodaje, że u stóp tego Świętego zawieszono srebrną tablicę i że wotanci dach głównego gmachu kościelnego miedzią pokrywać zaczęli, który aż do owego czasu gontami był kryty.

Niewypada przepomnieć także o szkole istniejącej z dawna przy archikatedrze, a której poprawą zajęto się w r. 1638. Przed przeniesieniem metropolii z Halicza do Lwowa założyli konsulowie szkołę kosztem miasta „do nauki młodzieży i usługi w kościele“, której nadali rektora. Według układów zawartych między Bernardem Wilczkiem a urzędem miejskim 1514 przez pełnomocników Zygmunta I., konsulowie kosztem całego miasta w akademii krakowskiej mistrza lub bakałarza wyszukiwali i kapitule przedstawiali do zatwierdzenia; miał on jednak być podwładnym urzędu miejskiego a władzy kościelnej ulegać tylko w rzeczach kościelnych. Był on przy tem kanonikiem katedralnym.

W ciągu lat zapełnił się kościół katedralny mnóstwem ołtarzów, których liczba dochodziła do 32, nagrobków i napisów, których położenia nawet dzisiaj dokładnie oznaczyć nie można, a to głównie z tego powodu, że kościół doznał za arcybiskupa Sierakawskiego bardzo znacznych przemian. Zastał on kościół mocno uszkodzony i zacieśniony przez rozmaite kaplice, we wnętrzu kościoła po zakładane, i mnóstwo ołtarzów. Kościół był obmurowany i otoczony cmętarzem. Były do kościoła trzy główne wchody w murze cmętarza. Sierakowski przedsięwziął z wielkim kosztem zupełną kościoła przemianę, którą obliczono na 600,000 złotych. Zburzono więc kaplice Domagaliczów, Wolfowiczów, Szulców, Zamojskiego i Sierakowskiego. Wystawiono nowy wielki ołtarz, słowem katedra przybrała kształt, jaki po dziś dzień posiada. Odtąd koleje kościoła tego właśnie na rok przed 1ym rozbiorem Polski bo w r. 1771 uległy tem samem zmianom losu co Ojczyzna cała, i musimy zachować ich opisanie opowiadaczom losów porozbiorowych Polski i wszystkich do niej należących instytucyj.

K. W.

POMNIK W RAPPERSWYLU.

Minęło właśnie lat sto, jak w mieście Barze na Podolu, kilkuset szlachty pod wodzą dzielnych Puławskich zawiązało konfederacyę, aby podnieść oręż przeciwko wrogom rozszarpującym ojczyznę. Za małe mieli siły, toż pomimo cudów waleczności, pomimo najwznioślejszego poświęcenia nie zdołali powstrzymać okropnej katastrofy. Walczyli jednak do ostatka, i nietylko Polsce ale światu całemu świetny zostawili przykład nieznającej granic miłości ojczyzny. Synowie i wnuki konfederatów barskich umieli z tego przykładu korzystać i chlubnie prowadzili dalej rozpoczętą przez nich walkę. Dowodem tego wojny napoleońskie, powstanie listopadowe, nieszczęśliwe powstanie w Krakowie w 1846 i w Poznaniu w 1848 roku, wojna przez młodzież bezbronną w roku 1863 z zdumiewającem prowadzona poświęceniem, dowodem tego wreszcie ta cicha nieustanna praca w duchu narodowym, która siły w bojach bezskutecznych zwątlałe pokrzepia i zapał w wiecznotrwałej utrzymuje świeżości. Chociaż każda mogiła pokrywająca zwłoki poległych za ojczyznę, a mogił takich niebraknie w żadnym najodleglejszym ziemi naszej zakącie— jest wymownem świadectwem naszych cierpień, naszego poświęcenia, naszej miłości ojczyzny, toć wiele głosów w kraju i za granicą przemawiało zdawna za postawieniem innego pomnika, któryby nieustannie sprawę naszą zobojętniałej przypominał Europie. Zarazem chciano postawienie takiego pomnika połączyć z uroczystym międzynarodowym obchodem, któryby szlachetnie myślącym cudzoziemcom nastręczył sposobność wypowiedzenia swoich zdań i myśli, i posłużył przeto za dowód, ilu i jakich ma Polska przyjaciół pomiędzy mężami, pracującymi dla szczęścia i wolności wszystkich ludów. Myśl ta dojrzała i zamieniła się w czyn, a los i okoliczności zdarzyły, że pomnik stanął na wolnej ziemi Helwecyi, w ojczyźnie Wilhelma Tella, krainie szlachetnej a tak gościnnej dla najmłodszego pokolenia naszej emigracyi.

Nad brzegiem jeziora Zurichskiego dwa miasta leżą naprzeciw siebie: Zurich i Rapperswyl. W tem ostatniem jest zamek, nad którego bramą tkwi napis:

Patrzcie, zamek opuszczony,
Wymarli rycerze . . .
Nie trzeba takiej tu obrony —
Wolność sztandar dzierży.

Tuż nad jeziorem, na placu zwanym Linden, należącym do tegoż zamku, Władysław hr. Plater, jeden z znajznakomitszych członków naszej emigracyi, wzniósł swoim kosztem pomnik w mowie będący. Jest to słup z czarnego marmuru z orłem polskim na szczycie. Na piedestalu umieszczono po jednej stronie herb polski z białego mar-

muru i napis polski; na innych trzech stronach są napisy w języku łacińskim, francuskim i niemieckim. Wymieniono w napisie następujące główne daty walk polskich o niepodległość:

Konfederacya barska 29. Lutego 1868.
Konstytucya 3. maja 1794.
Legiony polskie we Włoszech 20. stycznia 1797.
Konfederacya warszawska 28. czerwca 1812.
Wojna o niepodległość 29. listopada 1830.
Powstanie w Krakowie 22. lutego 1846.
Powstanie w Poznaniu 20. marca 1848.
Wojna o niepodległość 22. stycznia 1863.

Główny napis, tłumaczący znaczenie pomnika opiewa następnie:

Nieśmiertelny geniusz
POLSKI
Po stuletniej walce
niepokonany jeszcze przemocą
wzywa
na wolnej ziemi Helwecyi
boskiej i ludzkiej
sprawiedliwości.

Myśl uroczystego obchodu odsłonięcia pomnika przyjęto życzliwie w kraju i za granicą, ale przyznać trzeba, że tak pomiędzy emigracyą polską w Szwajcaryi i Francyi, jak i u nas dały się słyszeć głosy, mające wiele do zarzucenia tak samej myśli w ogóle jak i jej przeprowadzeniu. We Lwowie i Krakowie zabronione zostały zgromadzenia ludowe, które miały wysłać deputacje do Raperswylu. Pomimo tego wszystkiego jednak zjazd był niezmiernie liczny. Prócz Polaków z różnych stron kraju, przybyło także wiele znakomitszych cudzoziemców, jak Henryk Martin, profesor Steinbach, profesor Kinkel, Anatol de la Forge, Szwajcarowie Saxer, Springli, kilku Węgrów a między tymi jenerał Perczel, kilku Czechów, konsul Stanów zjednoczonych Ameryki północnej, jenerał Rochebrun i wielu innych. W wilię uroczystości t. j. d. 15 sierpnia odbyło się w Zurychu pod prezydencyą profesora Duchińskiego zgromadzenie, na którem ułożono program jutrzejszej uroczystości. Przy tem przemawiało kilku członków rozmaitych deputacyj, jak niemniej tych, którzy przybyli reprezentować własne przekonanie. Profesor Kinkel w świetnej mowie dowodził, że dopóki Polska nie będzie wyswobodzoną, dopóty zjednoczone Niemcy nie będą mogły stanowić państwa wielkiego i potężnego; poparł go Henryk Martin wskazując Dniepr jako ostateczną Europy granicę, po za którą leży Azya, Mongolia i barbaryzm.

Nazajutrz o godzinie pierwszej z południa wypłynął z Zurychu statek parowy wiozący gości do Rapperswylu, na miejsce uroczystości. Polacy nieśli sztandar z orłem, pogonią, św. Michałem i napisem: *„Usque ad finem,“* umyślnie przywieziony z Galicyi; wspaniałe dźwięki pieśni „Boże coś Polskę“ rozlegały się pe jeziorze. Na przeciwnym brzegu stały nieprzeliczone tłumy Szwajcarów, a ze wszystkich prawie okien powiewały chorągwie narodowe, co wszystko dowodziło, jak szczerem i głębokiem współczuciem przejętą jest ludność Szwajcaryi dla naszej sprawy.

Wystrzały działowe zawiadomiły zgromadzoną na brzegu publiczność, że statek już się przybliża. Na to hasło zagrzmiała na statku pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła,“ a wkrótce potem nastąpiło wylądowanie pod bramą tryumfalną, którą w zatoce postawiono. Tutaj powitał gości komitet urządzający uroczystość, na czele którego stał czcigodny burmistrz miasta Rapperswylu, poczem wszyscy znowu przy odgłosie pieśni „Boże coś Polskę“ ruszyli do hotelu *du Cigne* (pod łabędziem), gdzie nastąpiło powtórne uroczyste powitanie i przedstawienie, przyczem delegaci składali swoje listy wierzytelne; tymi byli pp. Danielewski z Prus zachodnich, Henryk Schmitt ze Lwowa, dr. Kamiński ze Stanisławowa, Jarocki i Majewski z Tarnowa, dr. Teobald Semilski z Kołomyi, p. Elżanowski delegat emigracyi polskiej z Paryża, i wymienieni powyżej cudzoziemcy, tudzież wiele innych osób, które poczytywały sobie za obowiązek wziąść udział w tak wzniosłej międzynarodowej uroczystości. Całe to świetne zgromadzenie ruszyło nakoniec na zamek przy odgłosie muzyki szwajcarskiej. Orszak poprzedzały dwie chorągwie, polska i szwajcarska; dalej postępowało sześć dziewic szwajcarskich w bieli z wstęgami kolorów narodowych polskich, a dalej magistrat miasta Rapperswylu, za nim wreszcie deputacye i goście; Polacy w pysznych strojach narodowych. Tłumy ludności, tak miejscowej jak i z dalszych stron przybyłej, zapełniały ulice. Gdy orszak przybył na miejsce i mężczyzni uszykowali się w około pomnika, a kobiety na przygotowanej trybunie, Szwajcarowie odśpiewali pieśń niemiecką, ułożoną na nutę „Boże coś Polskę.“ Donośnemi okrzykami, które ze wszystkich piersi zagrzmiały, powitano ten nowy dowód współczucia. A gdy pieśń przecichła i okrzyki przebrzmiały, dziewice szwajcarskie ściągnęły zasłonę okrywającą pomnik, i ukazała się oczom obecnych ta czarna kolumna z białym orłem — niepokonany stuletnią walką geniusz Polski, wzywający boskiej i ludzkiej sprawiedliwości. Silne i głębokie wrażenie wywołało nowe okrzyki, poczem hr. Władysław Plater przemówił z mownicy, oddając uroczyście pomnik polski pod opiekę miasta Rapperswylu, a następnie, wyjaśniając dzisiejszy stosunek Polski, znaczenie pomnika wykazał.

Mowa hr. Platera była początkiem długiego szeregu mów, które po niej nastąpiły. Przemawiali tam burmistrz miasta Rapperswylu p. Helbling, p. Henryk Schmitt, Danielewski, Kornel Ujejski, Anatole de la Forge, Saxer, prof. Kinkel. Polacy wykazywali czem jesteśmy, do czego dążymy i czego mamy prawo żądać od świata; cudzoziemcy umacniali ich w nadziejach, upewniali o współczuciu lu-

dów; „Polska nie zginie, nie upadnie — mówił pan Saxer z Saint-Gallen — chociaż jej synom odbiorą i język ojczysty; to nie przyczyni się do upadku, bo nie masz siły na swiecie, któraby zakazać mogła matce, przemawiać tym pięknym, pięknym bo ojczystym językiem do swego dziecięcia; nie ma siły na świecie, któraby wydrzeć mogła ze serca, z głębi duszy mowę ojczystą, wyssaną z mlekiem macierzyńskiem. Jest to własność duchowa człowieka, własność, której żadna siła zniweczyć nie może. Dopóki jeden Polak bądź w kraju bądź w obczyźnie żyje, dopóki jedno brzmienie polskie wznosić się będzie do nieba, dopóki jedno tchnienie modlitwy wzniesie się do Pana nad Panów, dopóty Polska nie upadnie, dopóty nie stracą nadziei w jej zmartwychwstanie. I zajaśnieją dla Polski świetne gwiazdy szczęścia i swobody, i zapłoną dla niej święte ognie, święte płomienie wolności i niepodległości."

Skończyły się wreszcie przemowy i znowu zabrzmiał chór szwajcarski. Dała się słyszeć pieśń niemiecka na nutę „Jeszcze Polska nie zginęła," poczem całe zgromadzenie ruszyło w uroczystym pochodzie nad brzegi jeziora do hotelu „pod łabędziem," gdzie przygotowano ucztę. Sala była przyozdobiona sztandarami wszystkich wolnych ludów, polskie chorągwie połączone z szwajcarskiemi na znak, że Polacy zostają chwilowo pod opieką Szwajcaryi. Czterysta pięćdziesiąt osób zasiadło do stołu, każdy pod swoim sztandarem, i zaczęła się uczta przerywana toastami i mowami. Hr. Plater przedłożył zgromadzeniu listy i depesze telegraficzne, odebrane przez komitet urządzający z rozmaitych stron Europy, od mężów wysoko stojących, od korporacyi i reprezentacyi. Wzniosłemi przemowami powiększyli blask uroczystości Springli, Dormann, jenerał Perczel, Henryk Martin, konsul amerykański Pedge, profesor Kinkel, Walder, Steinbach, Martwall, wszyscy mniej więcej w tym samym duchu, w jakim przemawiano u stóp pomnika. Jenerał Perczel i konsul amerykański oddawali szłuszność Polakom, gotowym zawsze walczyć za wolność jako za ideę; pierwszy przypomniał rok 1848, drugi wojnę Ameryki o niepodległość, w której brali udział Kościuszko i Puławski — i obadwa w imieniu swoich narodów przyrzekali rozrzewnionym temi wyrazami wdzięczności Polakom, że Węgry i Ameryka czynny wezmą udział w tej walce, którą Polsce przyjdzie kiedyś stoczyć nad Dnieprem. O godzinie 1szej po północy skończyła się uczta i obecni rozeszli się, unosząc w sercu jedno z najpiękniejszych wspomnień.

W spokojnem Rapperswylu znowu dawna nastała cisza, przerywana tylko łoskotem kołowrotu lub odgłosem pracującego uczciwie młota. I krzyształowe wody jeziora zurychskiego po dawnemu szumią, bijąc o wybrzeże, na którym stoi pomnik wzniesiony nieśmiertelnemu geniuszowi Polski. Nasz cel osiągnięty szczęśliwie, bo stało się to, czegośmy pragnęli. Walka konfederacyi barskiej, ta pierwsza walka Polski o wolność, i długi szereg poźniejszych naszych walk i klęsk, uczczone zostały pomnikiem, który zarazem przypominać ma światu jego obowiązki tak pięknie skreślone przy odsłonięciu pomnika, i przypominać ma i nam obowiązki nasze, abyśmy zapamiętywając to co było, ciągnęli z przeszłości naukę dla przyszłości. Wreszcie obchód ile wzniosły tyle wspaniały rozruszał umysły, a nasze serca, skołatane tylu boleściami, tylu bezskutecznemi walkami, nową zagrzał nadzieją.

X.

FRASZKA.

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

Przed mieszkaniem pana *Diamantstein* w *, zatrzymał się karykiel pana Karola Giżyńskiego. Ładne cztery siwki, w lekkim zaprzęgu, kształtne wyrzucały główki, żuły wędzidła i rzucały się niecierpliwie.

Przez okno kamienicy wyjrzało bladawe oblicze, z rzadkim zarościkiem rudawym, w czapeczce zielonej aksamitnej. Pan Karol skinął uprzejmie i kapeluszem zlekka pokłonił, wyskoczył z karykla i wbiegł do sieni, w której go pan Diamantstein wesołym powitał wyrazem:

— Panu dobrodziejowi, dzień dobry!

— Dzień dobry, panie Diamantstein.

— No, proszę pana dobrodzieja do pokoju.

Gospodarz otworzył drzwi do p a r a d n e g o pokoju, w którym mnogie bronzy i ustawione na serwantce srebra bogactwem błyszczały, jakoteż i dwa wielkie zwierciadła w szerokich złoconych ramach.

— Proszę siedzieć pana dobrodzieja — wskazał kanapę zieloną materyą pokrytą.

Pan Karol rzucił się na fotel. Gospodarz usiadł naprzeciw. Koszulę miał spiętą kosztowną szpilką brylantową, na ręku takiż pierścień ogniste sypał iskierki.

— Czem pan dobrodziej sobie służyć pozwoli? — pod-



POMNIK W RAPPERSWYLU.



Scena z ostatniego powstania w czasie pożaru Miechowa.
(Z rysunków Grottgera.)

niósł się pan domu. A wiedział bardzo dobrze, że dziedzic Łuczyny nie za pożyczką przybywa.

— Dziękuję za wszystko, szanowny panie.

— Nu, przecie może kieliszek Madeiry? Mam *was feines. Louise!* — zawołał drzwi uchylając.

— Dziękuję, panie Diamantstein, rzeczywiście dziękuję!

— *Na, da lass sein!* — wymówił gospodarz znowu do Luizy. — A może dobre cygaro?

— To chętnie przyjmę — odrzekł Karol, ażeby nie zrazić — bo u pana Diamantstein są zawsze wyborne.

Gospodarz pogłaskał się po wygolonej brodzie, wyszedł do drugiego pokoju, i z ładną cygarniczką powrócił, którą przed gościem rozłożył.

— *Ganz fein!*

Pan Karol *Havannus'a* zapalił.

— Mamy piękną pogodę — zaczął gospodarz.

— Bardzo piękną.

— Żniwa były dobre.

— Dosyć.

— O cholerze, dzięki Bogu, już nie słychać w naszym powiecie.

— Podobno całkiem ustała.

— Pan dobrodziej był w podróży.

— Byłem w Gdańsku... Panie Diamantstein, między nami, w ścisłym sekrecie—podał mu rękę—mam interes pewien.

Pan Diamantstein odchrząknął i niby od niechcenia zapytał:

— Jaki to interes, panie dobrodzieju?

— Pan masz zapewne kogo znajomego w Kościerzynie, albo w Skowronowie?

— *Eh!* — uśmiechnął się Diamantstein dowcipnie niby, i wyrzekł półgłosem — *ist schon alles dagewesen.*

— Co, panie?

— Panie dobrodzieju, mam p r z y j a c i o ł a w samem Skowronowie — i mrugnął jakoś lewem okiem.

Pan Karol poczerwieniał.

— *Gnädiger Herr*, panie dobrodzieju, jestem szczery p r z y j a c i o ł pański. Pan chcesz o kogo zapytać w tamtych okolicach, a ja wiem już wszystko. I co pan dobrodziej będziesz mówić, kiedy ja powiem, że mój przyjaciół, kupiec Izydor *Zuckerappel* w Skowronowie, był proszony, aby wywiedział się o stosunków i okoliczności majątkowe pana dziedzica Łuczyny?

— Co pan mówisz?! — porwał się Karol rumiany, i aż zadrzał.

— *Nur Geduld!* Proszę pana dobrodzieja o cierpliwość. Wszystko bardzo jest dobrze.

Karol przysiadł znowu.

— Pan Muszalski z Borki prosił pana Zuckerappel, by wywiedział się o wszystkie okoliczności pana Karola Giżyńskiego w Łuczynie. A pan dobrodziej chce wiedzieć o majątku pana Muszalskiego. *Alles ganz recht.*

Karol poczerwieniał znowu.

— Panu Zuckerappel już te s a t y s f a k c y ą zrobiłem i napisałem: pan Giżyński, dziedzic Łuczyny, ma czystego majątku 40.000; jest dobry gospodarz, *sehr solid*, *sehr reel;* rządzi się dobrze, długów nie ma, i nikomu weksla nie podpisze. Czy nie tak?

Karol uścisnął mu rękę, ale go coś niby dławiło.

— I powiedziałem także: pan Karol Giżyński jest familii pięknej, *ganz noble* i *sehr moralisch.*

— Dziękuję panu.

— Teraz też pan dobrodziej chce wiedzieć coś pewnego o panu Muszalskim z Borki. *Na! Er ist reich.* Przybył z Augustowskiego z *fandbryfami.* Kupił Borki, inwentarze, a *fandbryfy* miał zawsze. Robi majątek i należy w Gdańsku do jednego *Holzgeschäft.*

— I kazał wywiedzieć się o mnie! — wykrztusił Karol znowu.

— To właśnie jest dobrze; *ganz in der Regel.* Gdyby pan Muszalski nie miał majątku, i gdyby panna posag nie miała znaczny, to i niepytałby wcale, a rad byłby, że kto pannę weźmie. Ale tak, to jemu chodzi, aby posag był dobrze ulokowany. *Habe ich nicht recht?*

Pan Karol temu nie przeczył.

— Ile też majątek jego oceniają? — zapytał znowu.

Pan Diamantstein podrapał się po głowie.

— *Wer kann das wissen! Fandbryfów* jego nikt nie rachował. Interesa robi. Nigdy nic na kredyt nie bierze. Płaci kuponikami. Gospodarz wielki. A wiadomo, że jego *Nichte* ma stotysięcy *baar.*

— Czy pan Zuckerappel pisał o tem?

— A jakże. Ale kiedym wiedział o co chodzi, zapytałem też kuzyna mojej żony, kupca *Goldkorn* w Kościerzynie. Aby wiedzieć! Bo jestem przyjaciołem pana dobrodzieja.

— A zatem co?

— *Alles ganz gut!* Pan Muszalski ma majątek i jest bardzo rzetelny. Jam tego dowiedział się dla pana dobrodzieja.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję!

— *Kleinigkeit!* I winszuję panu dobrodziejowi bogatej żony.

Pan Karol głową pokłonił.

— A może pan dobrodziej kupi Dębownicę.

— Nie jest mi przyległa.

— Bo tam gwałt!... Pan Kiedliński z Zaborowa także znowu dla niego weksel podpisał.

— Feliks?!

— *Ja!* Zawsze on jeszcze kogo znajdzie. Ale kapnie wszystko niedługo.

— I na wieleż podpisał pan Feliks Kiedliński.

— Podobno na dwa tysiące. Nie moje to *Geschäfte* — ruszył ramionami. — I młodszy syn hrabiny * w Złotychgórkach także mu weksel podpisał, *blankiet...*

— Dawno?

— Ze dwa miesiące.

— A na wiele?

— Coś tam podobno cztery tysiące czy pięć. *Ich weiss nicht genau.*

— Ten człowiek jest zgubiony zupełnie, a jeszcze ma wiarę!

— Lada dzień, i pan Diamantstein gwizdnął przez palce.— Jam to wiedział od lat sześciu. Weksle na weksle i zawsze weksle! *Bodenlos, leichtsinnig!...* Baron *Sitzblitz* z Pomeranii tylko tak czeka, jak hart na zająca, przepraszam pana dobrodzieja. Dębownica piękny majątek, ej, ej! Jeno tak zęby ostrzy, a zaraz przezwie *Gross-Eiche*, jak mówił. Szkoda!... A może pan dobrodziej teraz pozwoli kieliszek Madeiry?

— Dziękuję, ślicznie dziękuję, panie Diamantstein. Pilno mi, bo drogę mam przed sobą.

— No, to na raz drugi.

— A może pan Diamantstein tam jeszcze gdzie zapytać raczy.

— *Ganz gewiss*, a jak się dowiem, to przyjadę do Łuczyny.

— Proszę, odwiedź mnie pan.

— Bardzo mi będzie przyjemno.

— Do zobaczenia!

— Upadam do nóg!

Podali sobie ręce. Karol wskoczył do karykla i kazał się powieść do Trawna.

Pani Zaniewska, rozumie się, że najobszerniejszy rapart miała o wszystkiem z Borek, i skreślonym obraz panny Marcyanny jak najdokładniej.

— Mniejsza o to, że niełądna! Bo wielka to prawda: piękna spowszednieje z czasem, a do brzydkiej przyzwyczaić się można. Zresztą przecież odrażającą nie jest? Raczej może to rzecz gustu.

Karol milczał z pochylonem na dłoń czołem, a może... może inna wcale zamajaczyła przed nim w tej chwili postać.

— Co zaś do jej... — ciągnęła ciotka dalej — do jej... braku towarzyskiej rutyny, to i znajdzie się wszystko! Wyedukujesz ją łatwo, a ja tobie dopomogę, ukształcimy ją.

— I Marcyanna!

— Nazwiemy ją Martyna. *C'est plus noble.*

Ciotka na wszystko radę wiedziała — byle tylko siostrzeniec krocie pochwycił.

Pan kupiec Goldkorn zupełnie zadowalniającą odpowiedź panu Diamantstein przesłał. Więc też Karol w grudniu wybrał się do Borek znowu i wprost już do domu zajechał.

Pan Muszalski zaperzony przy gospodarstwie, nieogolony, przyjął go z otwartem objęciem. Panna poczerwieniała jak... karmazynowy buraczek.

Pan Karol trzy dni zabawił, ale... nie oświadczył się jeszcze, przestrzegając wielkopolskiego przysłowia: Co nagle to po djable. Kupiec Diamantstein poszepnął tylko: *Keine Courage!*

W końcu stycznia odebrała bączna pani Zaniewska wiadomość, że pan Muszalski był z bratanką w Skowronowie na balu, około której cała tamtejsza zakręciła się młodzież. Sytuacya przeto stała się groźną, więc Karol pojechał zaraz.

Pan Muszalski jeszcze serdeczniej go przyjął, a Marcysia więcej pokraśniała jeszcze. Mówili dużo o tym balu w Skowronowie. Panna uśmiechała się znacząco, ale wzgardliwie ramionami ruszyła, porównywując Skowronowo z Dreznem. Poczem zapytała o Poznań.

Dnia następnego, gdy pan domu był na spichlerzu — a panna z jakimś haftem niedaleko pieca usiadła, przysiadł się do niej kawaler. Coś tam o hafcie zagadał, ujął jej pulchne paluszki — i cichym, niby słodkim zapytał poszeptem:

— Czy wolno o tę poprosić rączkę?

— Co? co? — odszepnęła panna spuszczając oczy.

— I o serce?—wymówił kawaler z ciężkością, jak gdyby z westchnieniem tłumionem, a na twarzy jego wybił się wyraz, który Anglik byłby *disgust* nazwał.

— Serce?... — powtórzyła panna — Ach mój panie!

Karol ciągle trzymał jej paluszki, ściskając je silnie, jakoby... ze złości.

— Mój panie... ja... powiedz pan stryjaszkowi.

— Ale cóż pani mi powie? — targnął miękkiemi paluszkami — panno Marcyanno!

— Ja... kocham pana.

Karol z rozpaczą bolesną rączkę do ust przycisnął.

Nadszedł pan Muszalski zakurzony— bo właśnie dużo przemierzył żyta.

— Panie dobrodzieju—przystąpił do niego Karol, a panna za drzwi czmychnęła—panie dobrodzieju, po... — dławił się biedny — po... kochałem pannę Marcyannę. Oświadczyłem się... jestem szczęśliwy, żem jej serce pozyskał... Panie dobrodzieju, czy masz co przeciwko mojej osobie?

— Panie łaskawy! Skoroć dziewczę pokochało — zawołał stryjaszek — ja szanuję!

Karol pocałował go w ramię i odebrał wilgotny pocałunek w czoło.

Pan Muszalski przywołał pannę, która weszła zarumieniona a uśmiechnięta — i połączył ich ręce. Poczem wezwał kawalera do swojego pokoju, któremu aż lżej się zrobiło.

— Siadaj kochany panie Karolu — wymówił, i skórzany mocno już wysiedziany przysunął mu fotel. Po ojcu ma Marcysia sto-tysięcy gotówki. Testament jego opiewa, ażebym, gdy za mąż pójdzie, wypłacił jej zaraz nazajutrz po ślubie pięćdziesiąt tysięcy, a drugą połowę gdy upełnole-

tnioną zostanie. Co też naturalnie uczynię. Myśmy się z bratem bardzo kochali...—głos pana Muszalskiego zmiękł nagle — bardzo... i dzieliliśmy się wszystkiem... — płacz grał mu w piersi — i drogie to dziecko nasze, Marcysię... masz ją, kochany Karolu... Powierzam ci jej szczęście!

Karol był zaprawdę wzruszony trochę, widząc te łzy, ile że ich na tej twarzy nie spodziewał się nigdy.

— Gdybym *notabene* sprzedał Borki — mówił pan Muszalski dalej po chwili, zwykły odzyskawszy spokój — to złożę cały kapitał, i kupimy jakie dobra w Poznańskiem, tak ot na czterykroć sto tysięcy. Czego z duszy pragnę, bo już mi uprzykrzyło się tutaj. A jeszcze gdy tam i dziecko będzie kochane. Otóż wiesz wszystko i jak się masz rządzić. Wystawności nie wymagamy żadnej, bośmy skromni ludzie. A oszczędność przedewszystkiem. Zresztą jak tam wola twoja, kochany Karolku. Bądźcie szczęśliwi, a ja z wami! — i uścisnął przyszłego męża Marcysi.

Pięćdziesiąt tysięcy nazajutrz po ślubie... Ha! będzie potrzeba na drugą poczekać połowę. Ale procent!... Dobra na czterykroć!... Perspektywa piękna. Karol po tym naprędce rzuconym monologu do narzeczonej powrócić musiał, która słodkim przyjęła go uśmiechem.

Tak się odbyła deklaracya pana Karola Giżyńskiego.

VI.

W Poznaniu karnawał był wesoły. Bale śliczne—tańczono wiele — i bawiono się doskonale.

Karola Giżyńskiego wszelako żadne nie dojrzało oko. Podawano sobie tylko z ust do ust, że się żeni gdzieś tam pod Gdańskiem, z milionerką — panienką młodziutką, wychowaną w Dreźnie, urodzoną na Litwie.

Pan Feliks Kiedliński także z młodą przybył żoną — ale tylko na amatorskim był teatrze.

Pan Alfons Kierniewski ślicznemi po poznańskim bruku gonił konikami, wykwintnie ustrojony zawsze, zjadał obiady u Kurnatowskiego, u Katza, i używał świata jak się dało.

Na balu ochronkowym była także Helena z rodzicami swoimi. Podobała się bardzo i zaliczali ją do najładniejszych, do najpowabniejszych panien, w które zebrania tegoroczne obfitowały szczególniej. Na balu tym znajdował się i pan Władysław Horyński. Tańczył z nią mazura, kontradansa i dwa razy polkę. A gdy państwo Górniccy wychodzili z sali bazarowej, uważano, że wybiegł za niemi, podawał paniom futra, kapturki, sprowadził je mimo nalegań pana Górnickiego, by tego nie czynił, i do powozu wsadził.

Pannę Helenę zapraszano także, by wzięła udział w amatorskim teatrze na cel dobroczynny, i ażeby do wenty w pałacu Działyńskich należała — urządzanej każdego roku z tak troskliwem i zacnem staraniem. Ale pani Górnicka zasłabła nagle i córka jej odstąpić nie mogła.

Tymczasem Karol meblował mieszkanie — podług gustu pani Zaniewskiej — bo w końcu maja miał być ślub jego z Marcysią, czyli raczej Martyną.

— Potrzeba wszystko elegancko bardzo urządzić, *au suprême!* — powtarzała ciotka — bo przez to i *heritiérkę* podniesiesz w opinii, o co przecież także chodzi. Kareta ładna, *brougham*, konie, liberya, ażeby całość *chique* przynależny miała. Po karetę i kocz sam powinieneś do Berlina pojechać. Pokażesz Martynę więcej z daleka tylko, *ca fascine plus*. Oddasz parę krótkich wizyt, eleganckich, a ona powinna być z największą *elegance* ubrana. Sama strój jej ułożę. Potem zaraz zaczniemy ją edukować, formować. Pamiętaj tylko przestrzegać, by na tych wizytach mało mówiła, nie śmiała się, bo to jest *mauvais genre*, a do ciebie tędy i owędy słów parę po francuzku zagadała, poszeptem, by nie dosłyszano akcentu... i że nie zna języka.

Pani Zaniewska znała świat, umiała urządzać wszystko, więc też i we wszystkiem słuchał jej Karol.

Pan Diamantstein obliczył, że podróże pana Karola z powodu tej konkurencyi, przeróżne wydatki, ekwipaże, umeblowanie domu, ekwipowanie siebie i t. p.— już przeszło sześć tysięcy talarów wyniosło.

Pani Górnicka tylko co po chorobie, w salonie, wpółleżąc na kanapie spoczęła. Helena siedziała opodal i właśnie przeczytała jej Dziennik poznański.

Przede dworem stał koczyk szafirowy, widocznie świeżo podreperowany, kształtu przestarzałego! para jasnych kasztanków z płową grzywą, rosłych, silnych, jakby na urząd zbudowanych, i znany ekwipaż pana Diamantstein.

Po chwili niedługiej wyprowadził go gospodarz. Woźnica w czarnym płaszczu na kożuchu i czapce *landwerzysty* wsiadł na kozieł. Pan Diamantstein rozsiadł się w pięknych rosumakach, pąsowym owiązany szalem, wesoły i uśmiechnięty. Pokłonił raz jeszcze czapką z czarnego baranka, i płowe kasztanki wolno z miejsca ruszyły.

Pan Górnicki wszedł do pokoju i przystępując do żony, troskliwie o jej zdrowie zapytał.

— Dobrze zupełnie, i nawet dość silną się czuję — odrzekła—Helena przeczytała mi dziennik. Czegóż tu chciał Diamantstein?

— Przybył za kupnem zboża.

Pan Górnicki począł zwolna, niby w zamyśleniu, pokój przemierzać, pochylił głowę, skubał wąs szpakowaty i niby chmura twarz jego zaległa.

— Tobie coś jest? — zagadała żona.

— Ej!—machnął ręką, podniósł czoło i przystanął—cudze to bolą sprawki.

— Cóż się stało?

— Kierniewski z Dębownicy ujechał, zostawiwszy znaczne długi wekslowe.

— Jezus, Marya! To okropnie!

— Okropnie! — powtórzyła Helena za matką, i aż niby pobladła.

— Zadziergnął i drugich.

— Kogoż?

— Pana Tytusa na dziesięć tysięcy.

— Aż na tyle!

— Kiedlińskiego na pięć tysięcy.

— O mój Boże! Szkoda chłopca!

— Strata to dla niego niemała w dzisiejszych okolicznościach.

— Biedna Terenia zmartwi się bardzo. Powinien zataić przed nią.

— Niechaj tylko przed ojcem żony nie tai! Zresztą, biegnie to wszakże z ust do ust... Smutne to, gorzkie, bolesne takie wypadki. A jeszcze w naszem wyjątkowem a nieszczęsnem położeniu. Gdybyśmy byli narodem... palże licho marnotrawnika każdego!... Ale dziś, wina jednego cały dotyka ogół.

— Dokądże wyjechał?

— Któż to wie!

— A tak występował jeszcze w czasie karnawału.

— Właśnie też, może dla pozyskania kredytu, dla spekulacyi jakiejś na czyją kieszeń, albo jedynie po prostu, by użyć jeszcze na ostatku.

— Bolesne!

— Straszne!

— *Bodenlos*, *leichtsinniy!* — mówi Diamantstein— A ja powiem: lekkomyślność zbrodnicza... w położeniu naszem!

— Pan Górnicki ciężko westchnął. — Słusznie to sarka pan Dębogórski, powtarzając, że dzisiejsze pokolenie ostatecznie kraj zatraca.

— To za wiele, za wiele! Tak przecież nie jest.

— Gorzko wymówić, i aż wzdryga się dusza. Ale gdy takie zdarzają się wypadki!—Pan Górnicki nacisnął czapkę na głowę i wybiegł.

— Dziecko moje — wymówiła matka Heleny — to zaprawdę aż trwogę rodzi.

— Och prawda, mamo najdroższa. Żal mi Tereni i pana Feliksa — młoda dziewczyna odłożyła robotę i przeszła się po pokoju, widocznie niepokojem wewnętrznym nękana. Jej długa, bronzowa sukienka po szklistej wlokła się posadzce. Biały kołnierzyk i mankietki jedyną stanowiły ozdobę. Włosy miała ułożone gładko a wdzięcznie.

Po chwili wszedł służący i do stołu poprosił.

Pan Górnicki był ciągle chmurny i nie smakował mu obiad.

Pani Górnicka położyła się znowu na kanapie, a przyjemniej jej tu było w dużym salonie, z widokiem na obszerny dziedziniec.

(Dokończenie nastąpi.)

KRONIKA.

Z kraju.

(Od redakcyi). Winniśmy czytelnikom naszym usprawiedliwienie co do zamieszczonego w poprzednim zeszycie artykułu p. J. Gordona: „Zwaliska zamku Odrzykońskiego,“ który równocześnie pojawił się także w innem czasopiśmie wydawanem w Sanoku pod tytułem „Reforma.“ Sprawa to nieczysta, lecz nie z naszej strony. Artykuł ten nabyty od autora jeszcze przed dwoma miesiącami dla „Strzechy“ był naszą własnością, i nie pozostaje nam przeto nic innego, jak tylko oświadczyć publicznie, że „Reforma“ bezprawnie go wydrukowała.

(Piśmiennictwo). Literatura nasza w kraju wzbogaciła się w tych czasach zaledwie kilkoma broszurami politycznemi. Wszyscy chorujemy dziś na politykę, rozprawiamy i piszemy o niej; uroiło nam się, że losy Polski spoczywają w naszem ręku, że dźwigniemy światy mizernym palcem! Gdzież tu czas i miejsce na literaturę?! Ale zapiszmy i to, co jest.

„Trzy programy,“ broszura nieznajomego pióra, pragnącego podać najlepszą receptę na zbawienie Austryi i Polski— daj Boże!

„Memento mori,“ bałamuctwo dziwnego rodzaju, które chyba służyć może dla autora za świadectwo choroby umysłowej.

Wreszcie najpożyteczniejsza bez zaprzeczenia z tych publikacyj broszura, napisana przez Polaka w języku niemieckim pod tytułem: „Politische Briefe über Russland und Polen,“ która ma przynajmniej ten cel praktyczny, że może co do zapatrywania się na naszą sprawę otworzyć oczy austryackim mężom stanu, jeźli w ogóle jest jeszcze jakiekolwiek lekarstwo na ich ślepotę.—Oto cały najnowszy plon naszego piśmiennictwa.

Do tego działu zaliczyć nam jeszcze wypada godną uznania ze wszech miar broszurę niemieckiego profesora Kinkla pod tytułem: „Polens Auferstehung — Deutschlands Stärke“ (Zmartwychwstanie Polski — siłą Niemiec), która dowodzi jasno jak na dłoni, że bez naprawienia zbrodni dokonanej na Polsce niema bezpieczeństwa dla Niemiec.

Zresztą dowiadujemy się, że komisya do zachowania pamiątek historycznych w kraju przygotowuje materyał do wydania pomnikowego dzieła pod tytułem: „Lwów i jego pamiątki historyczne“ z ilustracyami; tudzież że antykwaryusz Igiel zajmuje się wydaniem dzieł znakomitego ekonomisty naszego pana J. Supińskiego.

Z Warszawy niemamy do zapisania żadnej nowości na polu literackiem.

Najpłodniejszym był Poznań, gdyż wydał w tych czasach dziełko naukowe: „Główne zarysy do rozkładu nauk jednokla-

sowych dla szkół katolickich"; Zbiór poezyj pana J. B. S. pod tytułem: „Sonety nadgoplańskie"; dwa utwory dramatyczne: „Kuzynka bez posagu" Stanisł. Koźmiana, i „Rok 1846" dramat w 5. aktach Jędrzeja Koźmiana; a oprócz tego ogłosił przedpłatę na „Krytyczną gramatykę języka polskiego", przez ks. Fran. Malinowskiego.

W Paryżu wychodzi nowe wydanie pism Ad. Mickiewicza staraniem syna wielkiego poety, z ilustracyami Bron. Zaleskiego. Dotąd wyszedł już tom czwarty.

P. Malinowski, niegdyś docent przy uniwersytecie warszawskim, a od r. 1831 zamieszkały we Francyi, wydał studyum historyczne pod tytułem: „Casimir le roi de Pologne" oparte na nowo odkrytych cennych dokumentach; a Francuz Andreoli, który brał udział w ostatniem powstaniu polskiem, a potem był w niewoli moskiewskiej na Sybirze, napisał bardzo zajmujący pamiętnik o tej niewoli pod tytułem: „De Pologne en Siberie",

— Przeglądu Polskiego zeszyt III. roku III na miesiąc wrzesień zawiéra następujące artykuły: „Kometa" przez Szreniawę (c. d.) — „Wacław z Potoka Potocki" (studyum literackie), przez Adama Bełcikowskiego. — „Literatura rosyjska." Czernyszewski i jego romans socyalny przez Leona Kaplińskiego. — Łukasza Górnickiego pisma polityczne" przez St. Tarnowskiego. — „Przegląd polityczny" przez L. Powidaja. — „Sprawy ekonomiczne krajowe" przez C. Hallera. — „Kronika bibliograficzna."

(Dziennikarstwo). Z publikacyj peryodycznych przybyły znowu dwie w tych czasach; we Lwowie: „Latarnia," pisemko satyryczne, które można uważać za dalszy ciąg „Makabundy," i które też idzie wiernie w ślady swojego poprzednika, a w Warszawie „Przegląd sądowy," pismo popularnonaukowe, poświęcone teoryi i praktyce prawa, pod redakcyą Ignacego Bielickiego. Warszawie przyznać potrzeba tę zasługę, że najtroskliwiej pielęgnuje nauki.

(Sztuki piękne) Na koncertach nie zbywało Galicyi tego lata; szczególnie w miejscach kąpielowych popisywali się rozmaici koncertanci. W samej Krynicy były trzy koncerta instrumentalne pp. Dobrowolskiego, Szczepanowskiego i Górskiego, i koncert wokalny p. Walerego Wysockiego. W Rzeszowie zaś dawał koncert p. Odrzywolski, sybirczyk na gitarze, i piszą, że może się mierzyć z Szczepanowskim.

— W Krakowie wyszedł z litografii „Czasu" M. Salba zwierzyniec obrazowy, zastosowany do zoologii prof. dra. Nowickiego, 1 zeszyt, zawierający na 16 tablicach kilkadziesiąt zwierząt ssących. Wykonanie rycin dokładne i czyste, jakby ryte na miedzi.

Na wystawie obrazów w Dreznie znajduje się obecnie kilka obrazów naszych malarzy, które zwracają na siebie powszechną uwagę; nawet w dziennikarstwie tamtejszem, bardzo zawistnem dla wszystkiego co obce, wywołują one pochlebne uwagi. Wystawili tam swe obrazy następujący nasi artyści: Matejko, „Sędziwoja okazującego złoto Zygmuntowi III-mu i jego dworowi"; Kossak, dwie akwarelle; Gryglewski, „Wnętrze katedry krakowskiej", Piotrowski, professor z Królewca „Chwilę, w której wysłańcy konwencji zabierają Marji Antoninie z więzienia Temple jej syna", a Makowski, „Widok zimowy„, na tle którego widzimy dwoje pacholąt, siedzących pod drzewem a skostniałych od zimna.

(Teatr) Na naszej scenie nie pojawiła się dotąd żadna nowość dramatyczna, prócz „Podlotka" pana Aur. Urbańskiego. Dobra to komedya, publiczność też przyjęła ją życzliwie i autora opsypała oklaskami.

— Teatr krakowski, powróciwszy z Poznania, bawi od trzech tygodni w Krynicy i doznaje tam jak najlepszego przyjęcia.

— Trupa dramatyczna p. Sztengla udała się w tych czasach z Wieliczki do Bilska i Cieszyna, gdzie już od 20 lat niewidziano polskiego teatru.

— Pan Nowakowski, były artysta sceny polskiej we Lwowie, występuje teraz na scenie niemieckiej w Wiedniu, ale krytyki tamtejsze wyrażają się się o nim nie bardzo pochlebnie.

(Pomnik dla jenerała Bema.) W Szilagyj-Szondya, na ziemi siedmiogrodzkiej, gdzie sławny ów wojownik rozpoczął swoje świetne działania wojenne, postanowiono wznieść pomnik na cześć jego. W tym celu zarządzone zostały składki w Węgrzech i w Siedmiogrodzie; a co najszczególniejsza przytem, że nawet Sasi, którzy w r. 1849 walczyli przeciw Węgrom, wzywają do składek ze względu na zasługi, jakie Bem położył w tym roku podczas zdobywania Hermansztadu, chroniąc miasto od zniszczenia i rabunku.

(Nekrologia). Dnia 25. sierpnia zmarł w Krakowie ks. Ludwik Łętowski, kanonik katedr. krakow., dziekan kapituły tamtejszej i biskup joppejski, właśnie w dniu swego patrona ukończywszy 82 lat pełnego zasług żywota. Słusznie powiada „Czas," że ze zgonem jego poniosły nieocenioną stratę kościoł, nauka, dzieje, kraj, a szczególnie Kraków, śród którego zabytkiem, żywym ubiegłej przeszłości był ów pasterz, żołnierz-historyk. Żywot jego pozostanie na zawsze świetnym przykładem, jak należy kochać ojczyznę i jak pracować dla niej.

Tego samego dnia 25. sierpnia zakończył życie w Dreznie Aleksander hr. Potocki, zacny patryota i zasłużony żołnierz polski z r. 1831. Połowę prawie wieku swego (liczył lat 70) przebolał jako wychodźca najprzód w Paryżu a potem w Dreźnie, gdzie był prawdziwym opiekunem i dobroczyńcą ubogiej braci na tułactwie, dzieląc się z nią resztkami swojego mienia, jakie pozostały mu ze zrabowanego przez Moskali majątku na Podolu. O duszy tak szlachetnej ze czcią tylko wspominać można.

Ze świata.

(Czarna królowa). Głównym prawie przedmiotem ciekawości w Paryżu, jest bawiąca tam od niejakiego czasu czarna władczyni afrykańskiego królestwa Mohely, imieniem Bibi-Fatuma. Almanak gotajski nie wie wprawdzie nic zgoła ani o tem królestwie ani o panującej dynastyi jego; ale ztąd nie wypływa jeszcze, by Fatuma nie miała być rzeczywiście królową. Jest na to inny dowód, a mianowicie świadectwo pewnego cywilizowanego Afrykanina, który oświadcza w jednym z dzien-

ników paryskich, że ma zaszczyt znać tę królowę, i podaje o niej następujące szczegóły:

Królestwo Mohely — powiada on — należy do grupy wysp Komorskich; wyspa ta nie jest wprawdzie wielka ale bardzo urodzajna, i przedstawia czarujący widok. Ludność w Mohely składa się z Arabów wszelkich odcieni, od białego aż do czarnego, i z kilku tysięcy niewolników, t. j. krajowców puszczy. Królowa sama może liczyć do 30 lat wieku; od czasu zaślubienia swego zwie się Fatumą, a nim jeszcze polityczne interesa wyspy zniewoliły ją zaślubić podeszłego Araba, spokrewnionego z sułtanem Zanzibaru, nosiła imię Jomby Sudy; Europejczycy zaś nazywają ją po prostu „Małą królową.“

Fatuma — opowiada dalej ów Afrykanin — osierociała dzieckiem jeszcze; jej ojciec był księciem Madagaskaru i krewnym Radamy, a matka pochodziła z familii równie potężnej z Tananariwy. Po śmierci rodziców zostawała pod opieką niewolników rodziny i garstki wojska, aż wreszcie wzięła ją Francya pod swoją opiekę. Co się tyczy jej osobistości, ma ona być istotnie bardzo piękną, cery oliwkowej, z bujnym kruczym włosem. Wzrostu jest małego, i posiada znakomite wychowanie, które zawdzięcza królowej Maryi Amelii, małżonce Ludwika Filipa.

W zeszłym roku naraziła się czemś rządowi francuskiemu, za co francuski okręt wojenny zbombardował jej stolicę. Fatuma schroniła się wtedy na wyspę Zanzibar, a teraz otoczona liczną świtą oficerów i niewolników przybyła do Paryża, ażeby złożyć uszanowanie swoje Napoleonowi i prosić go o większe względy dla swego królestwa.

Na wszelki sposób nie pozostanie zjawienie się takiej osobistości bez wpływu na modny świat paryzki, i kto wie, czy wkrótce nie usłyszymy ztamtąd o modzie czernienia twarzy a la Fatuma.

(Dziwaczne testamenta). Gdyby zachciało się komu pozbierać wszystkie dziwactwa, przekazane światu w formie ostatnich rozporządzeń, miałby zaprawdę pracę niemałą, ale byłby to zbiór niezmiernie ciekawy i pouczający. Nim jednak znajdzie się taki amator, podajemy czytelnikom naszym do wiadomości kilka najciekawszych przykładów.

Pewien bogaty Anglik, który był śmiertelnym wrogiem tytoniu i tabaki, zapisał cały swój majątek synowcowi pod tym warunkiem tylko, ażeby nigdy w życiu nie wziął nawet do rąk ani fajki, ani cygara, ani też szczypty tabaki.

Inny bardzo zamożny stary kawaler, bez familii, rozporządził, ażeby pogrzeb jego odbył się zrana o godzinie piątej. A gdy zdarzyło się właśnie, że śmierć tego poczciwca przypadła w miesiącu styczniu, potrzeba było w istocie wielkiej przyjaźni na to, by iść na pogrzeb o godzinie 5tej zrana w mróz i po ciemku; to też zebrało się zaledwie trzech znajomych nieboszczyka, ażeby mu oddać ostatnią posługę.

Ale jakież było zdziwienie tych trzech panów, gdy nazajutrz po pogrzebie otrzymał każdy z nich od notaryusza list następującej osnowy:

„Szanowny Panie! Jako wykonawca ostatniej woli zmarłego pana X. mam zaszczyt uwiadomić pana, że odziedziczasz trzecią część jego majątku.

Pan X. pragnął bowiem umyślnie, ażeby pogrzeb jego odbył się tak rano, by wystawić na próbę przywiązanie swoich przyjaciół; i rozporządził przeto, ażeby majątek jego rozdzielony został w równych częściach pomiędzy tych, którzy nie lękali się ani zimna ani trudu, by zwłoki jego odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynkn.

Ponieważ tedy tylko trzy osób uczyniło zadość temu życzeniu, kazałem podzielić całą ruchomą i nieruchomą spuściznę nieboszczyka na trzy równe części, i pan możesz odebrać część swoją po upływie przepisanego prawem terminu.“

Trzeci nader dziwaczny testament pozostawił pewien lord angielski, który okradany za życia niemiłosiernie przez swojego intendenta, chciał pomścić się na nim w ten sposób, iż mianował go uniwersalnym spadkobiercą wszystkich dóbr swoich, załączając jednak do tego rozporządzenia następującą niezmienną klauzulę:

„Pan N. musi do zarządzania majątkiem, który mu zapisałem, przyjąć ośmiu intendentów, i nie wolno mu nigdy przeglądać ich rachunków, inaczej postrada natychmiast wszystkie swoje prawa dziedzictwa.

Tym sposobem pozna on na większy rozmiar ową zgryzotę i złość, jakiej mnie nabawiał przez całe życie, gdyż będzie musiał patrzeć na to, jak jego majątek przechodzi zwolna w ręce rozbójników i oszustów.“

Jakiś bogaty Portugalczyk, który był nadzwyczajnym miłośnikiem ptaków, przeznaczył 30.000 talarów rocznie na to, ażeby ciągle utrzymywano klatkę z najrzadszemi ptakami na jego grobie.

Zmarły przed dziesięciu laty w Ameryce dziwak oświadczył w swoim testamencie, że przyczyną wszelkich nieszczęść, jakich doznawał w życiu, była jego niepunktualność, i dlatego przeznaczył cały majątek na to, ażeby na każdym rogu ulicy jego miasta rodzinnego umieszczono zegar i utrzymywano go w porządku.

Inny nakoniec Amerykanin, który dorobiwszy się wielkiego majątku na handlu wiódł potem życie próżniacze, wyznaczył w swoim testamencie nagrodę w sumie 25.000 dolarów dla kupca w Nowym-Yorku, któremuby się udało zebrać w przeciągu roku sześć najpiękniejszych przekupek w swoim sklepie.

Tacy to bywali niegdyś dziwacy; dziś prawie nie słychać już o nich.

(Velocipede, nowy dreptak francuski). Francuzom sprzykrzyło się już zwyczajne chodzenie po ziemi; ich krew gorąca i umysł wrażliwy potrzebują więcej życia i ruchu. Ta potrzeba też naprowadziła ich na wynalazek nowego rodzaju dreptaka (draisine), wózka dwukoleśnego, który — jak utrzymują Francuzi — ma nastręczać tak wielkie przyjemności (łamania karku), że w krótkim czasie wejdzie niezawodnie w używanie także i w innych krajach, jako bardzo pospieszny, dogodny i pomocny zdrowiu środek własnego transportu. Osobliwie dla turystów, alias włóczęgów wyższego tonu, byłby wielce pożądanym taki dreptak, zwłaszcza iż zajmuje bardzo mało miejsca, może być gdziebądź ustawiony, a nawet z łatwością da się zatoczyć na wyższe piątro. Co się tycze szybkości tej jazdy, dowiodły odbywane niedawno wyścigi, że dreptak kierowany wprawną ręką, jedzie równie szybko jak powóz dobremi

końmi, a przytem nierównie mniej się męczy drepcący jeździec, niż konie w zaprzęgu. Równie nowym jest także wynalazek dreptaka (welocipedu) wodnego, który pojawił się temi czasy na jeziorze d'Enghien. Aparat składa się z dwóch lekkich, wązkich czółenek z płóciennym dachem, połączonych z sobą dwiema sztabami żelaznemi, a między temi znajduje się koło szuflowe, które porusza się za pomocą dwóch na krawędzi łuku przytwierdzonych stopni. Dreptak wodny jedzie równie szybko, jak statek parowy.

(Karolina Birch-Pfeiffer) głośna w Niemczech autorka utworów dramatycznych, zmarła w tych czasach. Liczba tych jej prac dochodzi 80, a większa ich część powstała z przerobienia powieści i nowel różnych autorów. Rozpoczęła swój zawód w 1828 r. dramatem Herma z powieści Vanderwelda. Inni znaczniejsi autorowie zrabowani przez nią są: Auerbach, który jej wytoczył proces o dramat „Pani Professorowa," zrobiony z jego powieści „Wieś i miasto" — ale przegrał; Wiktor Hugo, Fryderyka Bremer, Aleksander Dumas, Jerzy Sand i t. d. Pani Birch-Pfeiffer pierwszą podobno była autorką dramatyczną, która takich przerabiań cudzych pomysłów się jęła. Tak zwane jej dzieła miewały niekiedy wielkie w Niemczech powodzenie, bo umiała zręcznie przedmiot ich wybierać, i zręcznie go układała dla sceny — lubo polotu artystycznego w nich nie szukać. Co się najwięcej w jej utworach podobało, to jaskrawość i sentymentalność, niekiedy błyskiem talentu prawdziwego ożywione.

(Goryl) Geolog francuzki i zarazem zapalony myśliwiec pan Berthiol, podaje kilka ciekawych szczegółów o gorylu przez niego schwytanym, przedstawiającym doskonały typ owych ludzi leśnych, tak dobrze scharakteryzowanych przez Pawła du Chailles.

Goryl jest większy od Orangutana, wysokość jego dochodzi ośmiu stóp, niekiedy $8\frac{1}{2}$. Zwierzę to odznacza się nadzwyczajną siłą, a żyje w lasach Afryki zachodniej.

W listopadzie roku ubiegłego, Berthiol ostrzeżony o ukazaniu się goryla w bliskości swego namiotu, zebrał swych Negrów, i w towarzystwie ich zaczął śledzić zwierzę z podwójną namiętnością strzelca i uczonego. Kilka dni stracono na próżnych poszukiwaniach; ale jednego poranku, myśliwcy przechodząc w milczeniu gęsty las, usłyszeli nagle trzask, pochodzący jakby z łamania się gałęzi. Wkrótce potem rozległ się po lesie straszliwy głos a raczej ryk, ścinający krew w żyłach. „Potrzeba—powiada Brethiol—słyszyć ryczenie goryla, aby powziąść wyobrażenie, jak silny wpływ ono na człowieka wywiera." „Ryk goryla, powiada ze swej strony Chailles, jest dziwnie przerażającym. Z początku zakrawa to na skowyczenie psa zajadłego rozdrażnionego, poźniej przechodzi w ton chrapliwy, głuchy, niby odgłos przeciągłego gromu; — złudzenie jest tak silne, że niewidząc zwierzęcia, można przysiądz, że grzmi gdzieś w oddali; — niekiedy głos jego suchy, urywany, przenikający zbliża się do detonacji".

Myśliwcy z bronią w pogotowiu przystanęli — gałęzie odchyliły się niedługo, i ukazał się zwierz postępujący ostrożnie na dwóch tylnych łapach, — rozpychając przed sobą gąszcz nerwistemi rękoma. Był to okaz na 7 stóp przeszło wysoki. „Zbliżał się do nas, powiada Berthiol, z głową podniesioną; oczy jego ciskały błyskawicę w ciemni lasu. O piętnaście kroków od naszego stanowiska, mówi dalej słynny wędrowiec, goryl zatrzymał się wydając ryk jeden po drugim. Z zaciśniętemi pięściami, rozwartą paszczą, w której połyskały kły długie i ostre, zbliżał się ku nam w groźnej postawie. Drzewo młode otoczone dokoła lyanami, tamowało mu drogę; — po chwili zwierz je schwycił gwałtownie, drzewo zatrzeszczało, zachwiało się i z korzeniem wyrwane padło, — zwierz przeszedł. W tejże chwili murzyn Milo rozpoczął atak. Kula świsnęła w powietrzu i trafiła goryla w łopatkę; — małpa skręciła się wydając jęk żałosny, potem jednym skokiem potężnym rzuciła się ku nam. O pięć kroków druga kula ugodziła ją w same piersi; zwierz zaryczał straszliwie, i rzucił się na Negra, który ocalał jedynie zostawiając broń w ręku napastnika. Fuzja w mgnieniu oka została przez goryla zdruzgotaną w kawałki uderzeniem o drzewo. W tymże czasie strzał z rewolweru dobrze wymierzony, zwalił goryla na ziemię; otoczyliśmy zaraz wszyscy do koła nieprzyjaciela, spętaliśmy go około szyi z pomocą lassa, i położyli na noszach z gałęzi. Poczem przenieśliśmy wspaniały okaz do namiotu. Zwierz cierpiał okropnie — wydając jęki to żałośne to wściekłe."

Berthiol pelecił go zamknąć w klatce, w której dotąd pozostaje uwięzionym. Za każdym jednak zbliżeniem się człowieka, zwierz ryczy i w głąb klatki się kryje. Z ran zdołano go wyleczyć. Je dobrze i wiele z widocznym apetytem — ale znosić nie może, co zresztą obserwowano u wielu innych zwierząt: widoku murzyna; natychmiast jeżą mu się ze złości włosy. Biały człowiek nie czyni na nim takiego wrażenia. Berthiol nie wątpi o możności przechowania goryla we Francji pomimo różnicy klimatycznej — a co więcej ma nadzieję oswojenia ciekawego tego zwierzęcia.

(Pożary). Od Szwajcarji do morza Bałtyckiego, od Dźwiny i dalej ku Azji, palą się lub paliły lasy i torfowiska, torfowiska i lasy — spaliło się mnóstwo siół, miasta leżą w gruzach i popiele. W sierpniu gorzały lasy i torfowiska około Petersburga; przy drodze żelaznej Mikołajewskiej, spaliło się przeszło 4,000 wiorst kwadratowych lasu; paliły się lasy w gubernjach Inflandzkiej i Estlandzkiej; w okolicach Rygi i Narwy, w okolicach Moskwy; spaliło się 1,800 morgów puszczy Białowiezkiej. Palą się lub paliły torfy w Szwajcarji, na Pomorzu, w Meklemburgskiem, paliły się gęsto lasy w Turyngji i wielu miejscach Niemiec, spaliło się przeszło 70 morgów lasu pod Lesznem, w W. Ks. Poznańskiem, tu i ówdzie spłonęły zboża na pniu i td. Europa jest w ogniu. Jeśli nie można powiedzieć, że w skutek pożarów tych gorąco było wszędzie, to przynajmniej tyle, że prawie wszędzie było dymno i duszno. Upały od których powysechały bagna i trawy, ułatwiły rozszerzanie się pożarów, ale żeby były ich głównym powodem, tego przypuścić nie można — bo i czemuż istnieją lasy wiekowe w strefach podzwrotnikowych? Po prostu, zbieg okoliczności, nieostrożność, niedbalstwo, złość ludzka, bywały powodem tych pożarów, które miliardy strawiły.

Wydawca i nakładca: F. H. Richter. Redaktor odpowiedzialny Fr. Waligórski.: Z drukarni narodowej W. Manieckiego.